

WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom czterdziesty dziewiąty

ADA.

SCENY I CHARAKTERY

Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

PRZEZ

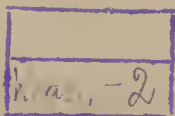
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM III.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—
1885.



Доводено Цензурою.
Варшава, 5 Июля 1884 года.



Wrażenia pierwszej przechadzki jeszcze były świeże... a teraz—inaczey się Adzie przedstawiał kraj—obraz natury... inaczey śpiewały ptaki. kwitły dzikie rośliny nad drogą... Coś dziwnie wesołego, zachęcającego do życia, upajającego było w woni tego powietrza. Nigdy tak pięknych roślin nie widziała w polu, poczęła je zrywać z przyjemnością, bawiąc się niemi.. Koniki przelatujące, motyle, muszki miały barwy złoście, jakich u nich nigdy nie widziała... niebo stroiło się w barwy włoskiego zachodu słońca... Gdy weszła w las — stanęła zdumiona pięknnością tej świątyni, której słupy wysmukłe trzymały w górze zielone sklepienia... Szła żywo. psy przybiegały do niej. łasiły się i uciekały wyprzedzając i kolując. maszując i sprzecząc się z sobą. Czasem z krzaka lub z pod kamienia zrywał się ptaszek, za którym goniły. póki im nie znikł z oczu...

Gdzieś daleko w lesie brzmiała przez echo powtarzana piosenka dziewczęcia, co grzyby zbierało... Łagodziło dźwięki oddalenie. i rozchodziła się, rozpływała wdzięcznie, miękko, tęskno, tak, że Ada stała się jej przysłuchiwać, ażeby motyw jej pochwycić...

Tak doszła do domku leśnika... ale przed dworciem nie było nikogo... Kilka kur chodziło szukając

ziarna... para gołębi dreptała także trzepiąc skrzydłami, to podlatując nieco, to spadając na ziemię...

Okno dworku stało otworem, wiatr powiewał białą jego firanczką, a z głębi cicha wylatywała pieśń nad kołyską, nucona tak, jakby matka razem z dziećciem usnąć miała... Prosta to była melodia — ale dziś i ta, jak piosnka w lesie, robiła na niej wrażenie toż samo co dziko rosnące kwiatki nad drogą... pełna była tego soku życia, co wprost z łona ziemi płynie... sztuką nie wywoływany, nie podżywiany sztucznie. Słuchała stojąc, nim podeszła do okna...

W izbie siedziała z dziećciem na rękni Kasia, na pół drzemiąca, pół zamysłona... Oczy miała spuszczone na swojego „robaczka“; cień w oknie spostrzegłszy, podniosła je... Poznała panią swą kochaną — ale dziecię usypiało, „robaczka“ obudzić się nie godziło. palce położyła na ustach... potem łagodnie, ostrożnie dziecię złożyła w prostej kołysce, obrzuciła je zasłonką od much, i dopiero wyszła rzucić się do nóg Adzie...

— Al paniuńcia moja droga! przepraszam stokrotnie — poczęła — musiałam chłepaka położyć. bo mi tak długo wrzeszczał... Zębów dostaje... proszę pani. Co to za bieda z temi zębami. Niedługo człowiek niemi gryzie chleb, a z taką to boleścią przychodzi...

Ada... słuchała z zajęciem, patrzyła na Kasię, rada była wniknąć w jej duszę, aby zrozumieć to życie, to szczęście... Nie dziwiła się już tak Kasi jak wprzód — ale pragnęła wiedzieć, czy istotnie tak była szczęśliwa.

Tuż pod oknem w rogu dworku była bardzo prosta altanka, którą sam Stach dla Kasi wieczorami zbudował... Lato ją obwinęło fasolami kwitnącemi pousowo, powojem i sycyosem wziętym z Ruskowa... Siadły tam obie... Kasia ją całowała po rękach.

— Jaka pani dobra! jaka łaskawa! że tak o swej starej nie zapominasz słudze...

— Chciałam się dowiedzieć — może ci czego brak? mów? Zawsze twój Stach tak pocciwy i dobry — zawsze jesteś szczęśliwa??

Rozśmiała się Kasia, ocierając twarz i oczy... poprawiając włosy...

— A! dzięki Najwyższemu—nie się u nas nie zmieniło... Stach... pocciwy i przywiązany. nie sędzę, aby się mógł nawet zmienić. Człek prosty a serdeczny. Czegoż chcesz? A uchowaj Chryste Jezu! bałamuctwa jakiego — o! droga pani moja! czyż ja nie mam szczęścia w tej kołysce?

Odwróciła się ku domkowi...

Kasia nawet o tem dłużej mówić nie chciała i zagaiła o mleku, ofiarując się go przynieść. A że osy i muchy pod altanką dokuczały, wprowadziła Adę do domku... Siadła właśnie naprzeciw kolebki, i matka nie mogła wytrzymać, ażeby podniosłszy nieco zasłony, nie pokazała jej śmiejąc się swojego pucółowatego chłopaka, który spał, obie pięści trzymając przy twarzy, ze spokojem pieszczonego jedynaka, wiedzącego, że nad snem jego ktoś czuwa...

Zostawiając Adę przy kolebce, z prośbą, aby na wypadek odezwania się dziecka, z lekka ją nogą poruszyła (była to kołyska na biegunach), Kasia pobiegła do obórki po mleko... Zadumana, rozglądając się w tem szczęściu sprowadzonem do najprostszego niemal wyrazu — pozostała Ada... pojmując je teraz lepiej, czując mocniej... Jakas tęsknota i rozrzewnienie towarzyszyły jej myślom, i miło jej było w tej ciszy, w chatce — u kolebki — milej niż w salonie, gdzie ją seigał złośliwy uśmiech Hortensyi i niespokojne wejścia jej dworu...

Dwa psy, które jej towarzyszyły, przez otwarte drzwi wśliznęły się do izby, pokładły głowy z obu stron przy jej kolanach i patrzyły jej w oczy...

Kasia nie nadeszła jakoś prędko z mlekiem: miała czas tak pozostać z ciszą, myślami i tym widokiem małego szczęścia w chatce, którego tajemnice rada

była przeniknąć. Przyszła wreszcie gospoia .. zniżając głos, by dziecka nie przebudzić. Ada zaczęła z nią rozmowę o jej gospodarstwie... rozpytywała o szczegóły; ani się spostrzegły, gdy zmierzchać zaczęło. Wtem przed dworkiem zatętniało, ktoś jechał konno... stanął.

— Czy to twój mąż? spytała Ada.

— A nie. mąż ze strzelbą poszedł pieszo... zawołała Kasia do okna śpieszą. Ale nim doszła do niego. głos bardzo znany, odezwał się:

— Panie Stanisławie! hej! panie Stachu!...

— To młody pan z Zahajów, zawołała Kasia, odwracając się, i postrzegła nagle, że Ada zbladła i jakby przełknięta zadrżała...

— A! niech się pani nie lęka! ja go odprowadzę!

To mówiąc gospoia wyszła z dworka na próg, ale za nią wysunęły się dwa psy ruszkowskie, które Robert znał dobrze i wiedział, że one się bez pani swej nigdzie nie ruszały.

— Dobry wieczór panu — poczęła Kasia — mojego w domu nie ma — poszedł las obchodzić!

— A! a cóż tu psy robią z Ruszkowa? odezwał się zdziwiony Jazyga...

Psy właśnie łaszcząc się i podskakując ku dobrze znajomemu, zbliżyły się do niego.

Zapytanie to tak zmieszało Kasię, że zakrywszy się końcem fartuszka, nie wiedziała co odpowiedzieć. Zarumieniała się mocno, skłopotana, oczy spuściła... Szczęściem Ada, której mąż wrócił, namysliwszy się w tej chwili oknem wyjrzała...

Robert się uklonił i zsiadł z konia.

— A! pani tu! co za szczęście! odezwał się — zarumieniony... Przyjechałem na polowanie prosić pana Rybackiego...

Ada patrzyła milcząca, wsparta na oknie. Kasia widząc, że Robert stoi w niepewności co począć z sobą, gościinną być zapragnęła.

— Niechże pan mnie da konia — zawołam dziewczynki, to koń spokojny, ona go potrzyzyma.. a proszę wejść i choć mleka się napić...

Robert nie wiedział jeszcze czy mu wypadło przyjąć zaproszenie. gdy Ada się odezwała także:

— Nie odmawiajże pan Kasil..

Przyszło jej wprawdzie na myśl, że z tego spotkania łatwo może nrosnąć bajka o schadzkach umówionych. rumieniec przebiegł jej po licu — lecz, miała mocne postanowienie nic nie poświęcać dla świata...

Robert od tego snu — rzecz dziwna — czynił na niej inne zupełnie, daleko silniejsze wrażenie. jakby owo marzenie węzłem jakimś tajemniczym ją z nim połączyło...

Jazyga też nie wahając się oddał konia nadbiegającej dziewczynce. i — wszedł do izdebki.

— Cóż pani tu robi?

— Widzisz pan — przyszedłam moją starą przyjaciółkę odwiedzić... I to — nie pierwszy już raz.. Robię studia nad jej szczęściem. nad którembym czuwać chciała. aby trwało... a ja się niem mogła napawać...

Położyła palec na ustach. wskazując na kolebkę...

— Tylko proszę mówić cicho — dziecię spi. a gdy się przebudzi — nie da ani matce, ani nam spokoju... Dzieci są despotyczne...

Robert usiadł trochę z dala — Ada zajęła swe miejsce u kolebki... Cały on jeszcze był przejęty szczęściem tego spotkania. obawą jakąś... nie śmiał się odezwać. patrzył, aby z jej oczu wyczytać rozkaz co ma robić z sobą.

— Pani tak sama... rzekł w końcu — odbywa dość odległe przechadzki... Kawałek drogi przez las!

— Ale nie sama! odparła Ada... widziałeś pan moich wiernych towarzyszków — coby mię obronili w wypadku, gdybym potrzebowała obrony, co być wcale nie może... A wieczór był tak piękny. żem się pokusie

przechadzki oprzeć nie mogła. W towarzystwie musi się mówić. chciałam być sama, ażeby myśleć.

Zaczynało zmierzchać. Kasia przybyła z mlekiem. Ada wstała wybierając się już z powrotem. Robert też ruszył się.

— Nie śniem być tak zuchwałym, aby się narzynać pani za obrońcę... w dodatku do psów — przez las... ale — moja droga właśnie wtedy prowadzi. .

Ada się uśmiechnęła...

— Wyobraź pan sobie, że panna Hortensya lub ksiądz kanonik spotykają nas w drodze, zaczęła mówić wesoło... Byłbyś pan najokropniej skompromitowany...

— Ja! — zawołał Robert..

— O! ja! nie — a potem cóż mnie to obchodzi!... Bądź zdrowa Kasiu... Zatem rzekła odwracając się do Roberta — pan mi w przyzwroitem oddaleniu, towarzysysz na koniu, jako moja gwardya... Siadaj pan!

— Pani mi pozwoli, ażebym konia prowadził w rękę?

I na to zgoda! Widzisz pan, jestem grzeczną..

Jeszcze raz usciskawszy Kasię, która trochę zdumiona patrzyła na tę parę oddalającą się — szepnęła jej Ada:

— Niechże z tego plotek nie będzie!

— A! proszę pani — odparła cicho Kasia — nawet mężowi nie powiem!!

Ale sama się zapłoneła mocno... i Boże przepuść — pomyślała sobie:

— Kto ich wie — może to nie był przypadek!? Ale co mnie do tego!..

Ada z początku zmieszana była mocno, biło jej serce, gdy się wś d tej ciszy lasu i mroku wieczoru nadchodzącego znalazła sam na sam z Robertem. Położenie było ekscentryczne. Z dumą jakąś powiedziała sobie:

— Cóż mi tam! w duszy jestem wyższą nad to wszystko...

Bojaźliwie Jazyga szedł w pewnem oddaleniu. nie śmiejąc się odezwać. lub raczej nie wiedząc co mówić. Drżał upojony szczęściem i trwogą. Ada nań śmiało patrzała.

— A! — rzekła — bawi mnie to. żeśmy się tak spotkali. właśnie gdy chciałam go widzieć i mówić z nim. Mam dobrą nowinę do zwiastowania. Nudny. ale biedny mój kuzynek Karol. nagle wyjechał. Rusków jest znów jak był.. i czeka. żebyś pan po dawnemu często go, często odwiedzał...

— A! pani, drżącym nieco głosem począł Robert, mimowolnie się zbliżając ku niej — jabym nigdy nie wyjeżdżał z Ruszkowa. gdyby... gdyby się to godziło... Wyjechawszy. czuję zawsze tyle rzeczy niewypowiedzianych...

— Wracaj pan! o! nie zważaj wcale na nic... Jeśli się to komu niepodoba lub dziwić będzie, że bywasz często i masz dla mnie trochę przyjaźni... cóż to nas ma obchodzić?...

Spojrzała nań podając mu rękę.

— Mówiłam panu: — bądźmy sobie siostrą i bratem... Jam brata nie miała nigdy, nie miałam siostry... matka mnie dawno osierociła. Serce moje potrzebowało przywiązać się do kogos...

Robert okrywał rękę pocałunkami.

— Ale... rzekła Ada... pamiętaj pan. ma to być czyste, święte — przywiązanie siostry i brata... Żadnej namiętności gwałtownej. żadnych burz i walk serdecznych — brat i siostra!!

Stała powtarzając te słowa. gdy Robert wzrzucony przykląkł przed nią na jedno kolano... Nie mógł mówić w pierwszej chwili:

— A! tak — zawołał nareszcie podnosząc się — na wszystko co pani nakazujesz. zgodzę się — lecz pozwól mi być swym sługą na życie całe — bratem...

— Bratem! — powtórzyła Ada, wskazując mu, aby wstał. na pół łzawym. pół żartobliwym głosem. — Na

zawsze siostrą i bratem. Zrozumiej mnie dobrze... niczego nie żądam więcej. Czyż nie dosyć takiego serdecznego dwojga istot związku...?

— Pani — przebaknął Robert.

— Do siostry nie mówi się już pani—dodała Ada—ani pan do brata. Przy tych ludziach, co nas mają i mieć powinni za obcych sobie... mówmy jak zwykle: gdysmy sami... nazywaj mnie Adą, ja cię bratem. Robertem nazywać będę...

Szczęście, którem był przejęty Robert—mówić mu nie dawało. Gwałtowne to wzruszenie przestraszyło nieco Adę.

— Uspokójże się — rzekła sama siląc się, aby nie okazać własnego wzruszenia... Podaj mi rękę, chodźmy razem. Las się kończy — tam rozstać się musimy...

Od dawna chciałam z wami zawrzeć to braterskie przymierze — cieszę się, że dziś miałam na to odwagę, i — że zrzuciliśmy okowy, jakie na nas ciążyły.... Jesteśmy od dziś siostrą i bratem...

— Ado! siostro! po raz pierwszy tych imion używając i upajając się nimi zawołał Robert — ty jesteś wyższą istotą — tyś aniołem. Tyś to rozumiała i uczuła, że taki człowiek, jak ja czcąc cię i wielbiąc wieki, nigdy ci nie mógł się przyznać do czci... Byłaś dobrą, jak anioł rozbijając te więzy, które mi słowo w piersi zakłuły... Oddycham teraz... ale szaleję ze szczęścia...

— Siostrą i bratem. Robertcie! siostrą i bratem! Jak brat i siostra kochać się mamy, pamiętaj — zatem bez szalu, upojenia — spokojnie — jak w Niebie...

W tej chwili ów sen przyszedł jej na myśl... oczy mgłą zasłzy, pochyliła głowę na jego ramię... i szła milcząca... zamknawszy powieki. Zapomniawszy o świecie całym. Ręka brata z lekka objęła ją... stanęli...

Szczeknięcie psa wywołało krzyk z ich piersi, ale Ada nie opuściła go, otworzyła śmiało oczy... Mrok

padał, nie było nikogo prócz nich... stali na wybrzeżu lasu... w dali Ruszków widać było... Pies z radości zapewne szczekał, bo na drodze nikogo dostrzedz nie mogli.

Cichym głosem Ada pożegnała go...

— Jedź — rzekła — do zobaczenia — u mnie albo w tej chatce... gdzie chcesz bracie... bracie!!

Kilka razy powtórzyła ten wyraz...

Ale na czole czuła długo pocałunek braterski. Wyrwała się żywo śpiesząc... Robert skoczył na konia i pędził boczną drożyną ku Zahajom. szalony.. bezprzytomny...

Nie wiedział ani któredy koń go niósł. ani jak dobiegł do domu. stanął u wrót. i dopiero rżenie konia, dopominającego się. aby mu otworzono. zbudziło go z tego stanu oczarowania... który się snem wydawał.

Chłopak otwierający mu wrota, uderzony był dziwnym stanem młodego pana... Nie odpowiadał na pytania — nie słyszał ich. wszedł do dworku. padł na sofkę i tak pozostał w jakimś odrętwieniu. Prawdą to było — czy złudzeniem — ona jego siostrą? on jej bratem? Czuł jeszcze na ramieniu dotknięcie jej skroni... tą ręką osmielił się ją do piersi przycisnąć. Siostra nie bronila mu braterskiego pocałunku... Był szczęśliwy! Mógł umrzeć...

— Nic więcej nie chcę — będę jej bratem. posłusznym. pokornym, wiernym jej całe życie... Dwie dusze nasze w jedną się zleją... Niech ludzie... potwarzają nas obrzucą. niech cierpię... dla niej cierpieć będzie rozkoszą...

Przez cały wieczór, noc całą dumał. myślał. agdy mu na myśl przyszedł ojciec — bladł i drżał...

Ten braterski związek już ojciec zechce zerwać? Co począć wówczas? Odpędził myśl natrętą. Było mu błogo... choćby jutro umierać. życie nad tę czystą szczęścia chwilę więcej już nie mu dać nie mogło...

Służba naprzeciwnie mówiła:

— Pan gdzieś musiał być na winie?

Ada spiesznym krokiem z początku biedz zaczęła ku parkowi... strach ją ogarniał jakiś. W pół drogi ochłonęła nieco, westchnęła.

— Stało się co było niemiuknionem — rzekła — Nie wiem jak wyszły mi z ust te wyrazy. z kąd się znalazło meztwo. O! sen, kusiciel przekłety... wrażenie tego snu rzuciło mnie na jego ramię... kazało nazwać bratem... Wstydzę się — a gdybym wróciła na tę ścieżkę i ujrzała go przy sobie — jutroby mu powtórzyła to samo... Siła jakaś władała mną. mówiła przezemnie... Stało się. Ani się tego rumienie! Tak lepiej...

Ada sama się starając wytłómaczyć i ukoić. weszła do parku najprzód, od którego furtki kluczy miała, chodziła po nim długo, zdawała się lękać, aby jej z twarzy szczęścia nie przeczytano, którego doznała... Palily skronie, gorzała twarz, drżały jeszcze usta, a serce na wspomnienie chwili tej biło jakby pękniętę miało.

Już ciemno było zupełnie, gdy po długim wahanu, zbliżyła się do werandy, po której Hortensya chodziła niespokojna. Dalej siedział kanonik, pólkownik i Karolina w kątku.

Gdy weszła na wschodki, pólkownik Brandys zerwał się z okrzykiem radosnym.

— Al dziękiż Bogu! myśmy już za panią rozesłali na wszystkie strony.. Takeśmy się lękali, czy się co nie stało.

— Ja od godziny jestem w parku! — odpowiedziała Ada starając okazać się spokojną — odpoczywałam... Wieczór tak śliczny...

— Ale godziż się tak trwożyć przyjaciół — odezwał się kanonik — temi samotnemi przechadzkami?

— Miałam dwa psy z sobą... — dodała Ada... a cóż mi się stać mogło!

— Ja sama — wtrąciła Hortensya — przed godziną wyszłam na spotkanie kuzynki aż pod las.. ale nigdzie jej dojrzeć nie mogłam.

Ada drgnęła. lecz rozśmiała się zaraz...

— Przecież jedna jest droga ztąd do lasu i leśniczówki... Ja nie lubię chodzić w towarzystwie. wole być sama...

— To choć służący mógłby z daleka... — rzekł pułkownik.

— A! to niewola — przerwała Ada. — Pułkownik wiesz. dla czego ja na organach grać nie mogę: bo czuję tego kogoś. co kalikując mi nudzi się — tak samo przechadzaćbym się nie mogła. w ślad idącego mając owego znudzonego stróża...

Hortensya słuchała nic nie mówiąc. lecz w oczach jej było coś strasznego, jakby uciecha mściwej istoty. która nieprzyjaciela dostała w rękę

Wzrok ten szatański. ile razy go spotkała. bolał Adę — powtarzała sobie mimowolnie, że Hortensya chodziła na jej spotkanie i mogła okiem swem bazyliśzka sprofanować scenę... dla niej niewytłomaczoną. gorszącą... zbrodniczą. „Jeżeli tak było, mówiła sobie w duchu — naówczas... będę na łasce tej istoty. Któż uwierzy w brata i siostrę? Powiedzą. żeśmy dwójkiem kochauków... okryją mnie sromem, który tylko związek pobłogosławiony zmyć może...

Ada nie przypuszczała jeszcze tej myśli. by matce dane słowo złamać miała! Chciała mieć tylko brata — nie męża.

Lecz mogła być — zmuszona?? Opanowana myślami temi, zatopiona w sobie — gospodyni nie dobrze słyszała jakieś opowiadanie kanonika, jakieś pytania pułkownika — coś o co się jej chciał radzić Oblęcki.. Wszystkim im odpowiadała łagoduie. iż była zmęczona dzisiaj. że jutro pomyśli... Pułkownik też pierwszy postrzegłszy tę zadnmę. przestał ją męczyć... Do wieczery poszła jeszcze niezbyt przytomna — lecz tu... zawstydzona stanem tym bezsilności, otrzęsła

się z niego nagle — i zaczęła rozmowę swobodną i żywą. Było w niej tylko nadto jakiejs gorączki — niepokoju.

Hortensya oczyma jak pijawka się w nią wpiła, na chwilę ich z niej nie spuszczać... Zwykle rozmowna; tego wieczorn milczała osłupiała niemal. Inni za to zastępowali ją opowiadaniem, a Oblęcki szczególnie ożywiony był, bo nowy karton miał na myśli.

Było to coś naksztalt Bitwy Hunnów Kaulbacha, scena w pół na ziemi, na pół w obłokach, ale z motywu, którego dostarczyły mu dzieje: owa bitwa z Tatarów, co niesli chorągiew z głową potworną, ziejącą dymem i płomieniem. Malarz całe wojsko piekielnych zjawisk chciał zawiesić nad pobojowiskiem krwawem, marzył o najdziwniejszych postaciach szatanów unoszących się z żagwiami i szczepami nad bohaterami szeregi obrońców krzyża... Oblęcki, jak zawsze, dopóki marzył o obrazie, miał pomysły mistrzowskie, czuł w sobie siłę dać im ciało i barwę.. lecz przy płótnie ogień natchnienia, którego nie był panem, gorzał prędko... i ręka opadała zdrętwiała.

Słuchając go opowiadającego, wszyscy czuli piekność obrazu, nikt nie wierzył już, ażeby się on mógł narodzić. Gdyby artysta tchem jednym był go w stanie stworzyć—niechybnie byłoby to arcydzieło—rozdzielić siłę, oszczędzić ich, wytrwać z nimi nie umiał. Ileką jemu podobnych skazanych jest na wiekiwałą walkę z własną naturą, co ich na widzenie tylko z dała ziemi obiecanej skazała!!

Oblęcki już miał karton rozpięty... zaledwie na chwilę mógł się oderwać od niego, nie pił, nie jadł, nie mówił, tylko o nim. Ada słuchała go z politowaniem i zajęciem.

— Biedny marzycielu — rzekła w końcu — al psuj płótno i kartony, maluj i niszc.. może nareszcie kiedy zilituje się nad tobą geniusz sztuki i cugle twej fan-

tazyi narzuciwszy, pokieruje tobą? Ja nie rozpaczam... Ostygnąć musisz jeszcze, abys się stał tak dobrym rzemieślnikiem. jak jesteś genialnym artystą... Niestety—w tobie poeta zabija rękodzielnika—a trzeba, by oni dwaj jak bracia szli razem ręka w rękę...

— Jak brat z siostrą? dodała złośliwie Hortensya.

Ada zbladła na chwilę, przez źrenicę jej przeleciał jakby płomień — była pewną, że kuzynka podpałtrzyła ich i podsłuchiwała... Była chwila milczenia, lecz po niej Ada z chłodną krwią zwracając się ku pannie Hortensyi rzekła:

— Tak jest — jak brat z siostrą! wyraziłaś się lepiej odemnie. .

Wstali od stołu. i wkrótce potem Ada wymknęła się do swojego pokoju. Nie było w tem nic nadzwyczajnego, gdyż często bardzo szła spocząć, pisać swój dziennik, lub czytać u siebie.

Nazajutrz przy śniadaniu. do ktorego późno dosyć przyszła panna Hortensya, wszystkich uderzyła jej postać sztywniejsza niż zwykle. usta zaciśnięte, zmarszczone brwi, milczenie uparte i zadumienie. Ada zapytała jej grzecznie czy nie ma bólu głowy. który ją często napadał?—zaprzeczyła temu sucho. Śniadanie zostało nietknięte, serwety nawet nie zdjęła z talerza. Przez cały czas z rękami założonemi. patrzyła na ścianę przeciwną, gdzie wisiał portret stary jednego z Boguszków, w karmazynowej delii z wyrazem twarzy wyzywającym i niemiłym. Zdaje się, że i tego kasztelana, i nic nie widziała, tak była w sobie zatopiona. Kanonik także siedział poważniejszy niż zwy-

kle, blade, mało co się odzywając. Pułkownik jeden był w zwykłym swobodnym humorze, wesół, gadatliwy... Obłąki się nie pokazał, rysował Tatarów swych i duchy piekielne nad wojskiem się unoszące.

Ada była już zupełnie uspokojona, pani siebie, bledsza tylko nieco, twarz miała jakby zmęczoną, a oczy niemal łzawe... Cierpienie jakieś i ubłogość wieniec razem mieszało się na twarzy.

Gdy wszyscy wstali, ks. kanonik prędzej niż zwykle się wysunął. Pułkownika powoływały zajęcia do folwarku, panna Karolina wyszła na werandę, Hortensya została sama z gospodynią, która zabierała się także odejść do siebie, gdy ją kuzynka zatrzymała, dziwnie usta sznurując i mierząc ją wzrokiem, który niby łagodnym starała się uczynić.

— Pozwolisz mi słóweczko...

— Proszę bardzo... odpowiedziała Ada wracając... Co każesz?

— Prosiłabym cię o konie... rzekła panna Hortensya—o konie.

— Są zawsze na twe rozkazy...

— Od niejakiego czasu czuję się jakos nie dobrze, doktor Weller mi nie pomaga... Mam myśl... nie wiem, zdaje mi się, że—dla zdrowia—osiądnę w Wilnie. Tam łatwiej jest o radę lekarską...

Ada zarumieniona, z razu nie umiała odpowiedzieć.

— A! jeśli ci z tem ma być dogodniej—nie smiała bym wstrzymywać—rzekła po namyśle...

Hortensya zdawała się czego innego czekać i spodziewać, jakiegoś pytania, któreby jej więcej powiedzieć dozwoliło. Gospodyni stała przed nią spokojnie czekając na dalsze żądania.

— Tak jest—mówiła Hortensya po pewnym namyśle. Zdrowie moje coraz jest gorsze. Sama nie wiem czemu to przypisać — ale są w życiu, nieoddzielne od niego wrażenia, wzruszenia, a ja mam nieszczęśliwą

taką naturę, że nic obojętnie zniesć nie umiem... Cudze nieszczęście dotyka mnie...

— Nie rozumiem co by w tych czasach szczególnie mogło cię tak dotknąć, przemówiła Ada powolniej. Nie chcę w to wchodzić...

Hortensya zdawała się wahać i walczyć z sobą... Twarz jej przybrała wyraz, który chciał być pełnym łaski i współczucia, ale ta maska przywdziana zła pokrywała złośliwość. Grymas był niezrozumiały jakis a wstrętliwy. Usta się ścigały, jakby płacz powstrzymywała, a oczy iskrzyły się gniewem i złością.

— Nie wszystko się daje wypowiedzieć — rzekła przerywanym głosem. Są rzeczy, o którychby się chciało zapomnieć, które przez usta nie przejdą nigdy...

— Nie rozumiem, droga Hortensyo — mówisz mi zagadki, których ja rozwiązywać nie mam prawa ani ochoty. Widzę tylko, że ci tu u mnie źle... i z prawdziwym bólem serca, muszę siebie o to obwinić — choć — pragnęłam z duszy, aby ci było jak we własnym domu...

— Umieć za to być wdzięczną — syknęła panna Hortensya — wiem, że mogłam być ciężarem...

— Nigdy... przerwała Ada.

— Potrzebuję się oddalić — tak jest... choć z bólem serca... Nawykłam, przywiązałam się do ciebie — kochałam cię...

— Wierz mi, żem się wzajemnością odpłacała...

— Ale nigdy, nigdy mojej rady serdecznej... nie chciałaś usłuchać!

— Twojej rady? podchwyciła Ada spokojnie. Znasz mnie Hortensyo — jest to, nie wiem, wadą mojego charakteru czy jego zaletą, że ja się powoduję tylko wolą własną. Nie zwykłam słuchać nikogo, oprócz mego rozumu i natchnienia. Płdżę może... ale...

— Tak — na to już nie ma ratunku! oczy sobie suche zasłaniając chustką mówiła panna Hortensya — rozstaniemy się więc.

— Mówiła z coraz większem poruszeniem, sądząc, że niem oddziała na kuzynkę, która coraz tylko bardziej stygła...

— Jeżeli to wola twoja... rzekła...

Panna Hortensya padła na fotel płacząc. Scena cała była widać umówiona, obrachowana, przygotowana, aby wywarła wrażenie.

Błada—kryjąc w sobie co czuła — stała patrząc na płaczącą Adę—lecz nie odzywała się wcale. Czekła...

— To wzruszenie—dodała w końcu—może ci więcej zaszkodzić jeszcze... Uspokój się proszę... Chcesz, bym cię odprowadziła?

Hortensya usłyszawszy to, zerwała się nagle, gwałtownie. i chustkę na oczach trzymając, nciekla...

Gonić za nią nie myślała Ada, wróciła do siebie. Były to następstwa wczorajszej nieostrożności... Hortensya musiała być świadkiem sceny, i w skutek jej chciała zastraszyć Adę, aby ją opanować. Zdawało się jej, że będąc w posiadaniu tajemnicy schadzek w lesie i czułych zbliżeń, potrafi groźbą rozerwać te stosunki.

Omyliła się, gdyż Ada, choć cierpiała — nie myślała uleść nikomu. znieść choćby potwarz, walczyć choćby z całym światem. Uczucie, które nią władało, było czyste, nie czuła się winną, a gardziła tem, że mogła być obwiniona.

— Moje postępowanie całe przekona ludzi, że—nie jestem dlań tylko siostrą—ale nadto go kocham, bym dla głupich ludzi, jego się wyrzec miała!

Wszedłszy do siebie, zadzwoniła natychmiast prosząc, aby do niej wezwano pułkownika. Chodziła

po pokoju niespokojna, gdy Brandys, zawsze biegiem na zawołanie śpieszący, zjawił się.

— Co moja dobrodziejka rozkaże? zapytał.

— Nie wiem co się stało Hortensyi. nie wchodzę w to—musi jej być u mnie źle—na to już poradzić nie mogę—słowem—rzekła Ada—chce wyjeżdżać.

— Jak to? zupełnie?

— Zdaje się—rzekła Ada.

Pułkownik głową pokiwał. nie okazując nadzwyczajnego zmartwienia.

— Bądź łaskaw pułkowniku—dokończyła gospodyni — wyręcz mnie w tem, jak wyręczasz we wszystkim. Pójdź do niej. bądź bardzo grzecznym —o to cię nawet prosić nie trzeba, bo nie umiesz być innym — rozpytaj jak chce się urządzić z podróżą i czembyśmy ją mogli ułatwić...

— Czy mam perswadować, ażeby została? zapytał stłumionym głosem, jakby z obowiązku Brandys.

— Mnie się zdaje, że... toby było zbyt ciężkiem—rzekła pani; — możesz ubolewać, że ją tracimy — ale nie zadawajmy jej gwałtu...

— A! pewnie! Jeśli chce, niech z Bogiem jedzie — pośpieszył poprawiając się pułkownik. Jeżeli już u mojej dobrodziejki jest źle... no!...

— To osoba... chora... podrażniona swem położeniem... szanujmy niedolę...

— To się rozumie! stwierdził pułkownik... Zatem, mam się udać do niej, po rozkazy?

Tak, kochany pułkowniku — i czegokolwiek wyмагаć będzie—proszę cię, spełnijmy...

— Naturalnie...

Brandys pocałował w rękę dobrodziejkę, zwrócił ku niej oczy pełne uwielbienia i wyszedł śpiesznie...

W chwilę potem pukał do drzwi... Nie zastał jej samą, w fotelu siedział zasępiony kanonik... Żywa,

krzykliwa nawet rozmowa została przerwana. Przytomność księdza hrabiego nieco utrudniała posłannictwo—choć Brandys umiał zawsze sobie dać rady. Nie darmo pół wieku żył na świecie...

Wszedł z uśmiechem grzecznym, ale smutnym. Hortensya była prawie pewna, że przychodzi z perswazyami.

— Z prawdziwą boleścią — co to ja się dowiaduję, że pani nas chce opuścić! osierocić! Możesz to być?...

— Musi być—niestety—sucho odparła panna Hortensya.

— A! to nam wszystkim przykro — westchnął pułkownik — ale — kiedy takie jest jej postanowienie... trudna rada...

Tu spoczął nieco...

— Pani nasza, dobrodziejka moja, przysyła mnie tu właśnie po rozkazy... Radzibyśmy przynajmniej w tej chwili rozstania, dowieść jak zawsze gotowiśmy byli — we wszystkim... tego...

Brandys połknął resztę. Błada twarz panny poczerwieniała—wzrok się zwrócił na księdza. Mówiła mu oczyną:

— Kontenci, że się mnie pozbędą —patrz!

Brandys stał na rozkazy oczekując.

— Ja jeszcze sama nie wiem — jak się zdecyduję — rzekła dumnie Hortensya — W każdym razie kuzynce jak starałam się tu nie być ciężarem, tak i odjeżdżając postaram się—jak najmniej wymagać. Może pan być pewnym.

— Ale my gotowiśmy. z duszy — serca — zawołał pułkownik — wszelkie ułatwienia — dogodności ...

— Ma to mnie, pułkowniku — rozśmiała się złośliwie panna — jakbyście gotowi na największe ofiary, byle się mnie pozbyć.

— A! pani dobrodziejko! Głodził się to?

— Zartuję, panie Brandys — oczywiście żartuję, nie więcej... Jeszcze nie wiem sama. Zaledwie powiedziałam o tem kuzynce... nadto jest troskliwa... Widzi pan — dodała wskazując sprzęty do koła — niełatwo to z mojami gratami się wywieźć...

Brandys głową potrząsał.

— Ja tylko czułem w obowiązku stawić się po rozkazy — rzekł — rozporządzenie wszelkie należy do pani... Sługą jej jestem...

To mówiąc skłonił się i wyszedł. nie pytając więcej.

Po jego wyjściu zerwała się impetycznie z krzesła Hortensya. załamując ręce.

— Słyszałeś, hrabio, widziałeś! — krzyknęła. Otóż to jest wdzięczność za moje poświęcenie się dla niej. za serce, za miłość. za te rady i czuwanie któremi lat tyle ją chroniłam od zguby... aż do tej nieszczęsnej godziny... Bez serca ..

— Dowodzi, że go ma może nadto — rzekł kanonik cicho — choć niem źle rozporządza...

Hortensya przechadzała się. rzucała raczej po pokoju...

— Juściż mnie wypędzić tak nie może... Chcę jechać — wyjadę! Pozostać tu, patrzeć na te skandale, na te amory nie mogę. Sumienie mi nie pozwala.... Lecz jednej godziny wylecieć niepodobna... Chciałabym doczekać radcy tajnego przynajmniej.

— Nie pisał. kiedy będzie? — spytał kanonik.

— Czas nieoznaczony... Trzeba koniecznie, abys hrabia widział się z nim wprzód, przygotował go... objaśnił, naradził się z nim o wspólne działanie. Dnszę jej ratować trzeba. cześć. sławę... inię rodziny...

Załamala ręce nad głową.

— Z radcą się widzieć będę — rzekł uspakajając kanonik.—W istocie... to potrzebne... Wierz mi pani

wszakże, że z tą kobietą, znając jej charakter, trzeba umieć postępować...

Tu siłą i groźbą nic się nie zrobi, tylko się umocni w uporze...

— A więc?...

— Są inne środki — kończył kanonik... — Miłość własna... miłość własna, niestety! — to zawsze sprężyna jedyna, za której poruszeniem zegar człowieka się nakierowuje i nastawia... Do niej umiejętnie trzeba przemówić. — I — kanonik chciał mówić więcej, lecz zmarkował, że całego planu swojego nie powinien był odkrywać przed Hortensją; więc zamilkł, kończąc poruszeniem ręki.

— Nadewszystko chłodno, rozważnie, powoli — rzekł po chwili; gdy się na drogę gorącą wprowadzi sprawę, wzmoże się gorączkę w naszej biednej chorej... bo jej inaczej nazwać nie mogę... Toby było najszkodliwsze... I tak choroba jej jest już gorączką.

— A zatem — cóż? proszę mnie kierować! proszę mi powiedzieć, co mam czynić? — spytała Hortensya.

— Ponieważ pani oznajmiłaś swój wyjazd... należy trwać w postanowieniu, ale się nie śpieszyć... a nie okazywać gniewu i rozdrażnienia. smutek byłby właściwszy, byłby nawet skuteczniejszy.

To mówiąc ksiądz de Belio, jakby już miał odrążyć do dalszej w tym przedmiocie rozmowy, wstał i wolnym krokiem wyszedł z pokoju...

Wieczorem tegoż dnia nadjechał Robert.. Pilno mu było do Ruszkowa, a lękał się ją widzieć, znaleźć inną, zmienioną, nie tą, jaką ją pamiętał. Przy obcych musiała być zimną, jak była zawsze. Ada zarówno lękała się tego spotkania, aby się nie wydać ze zmianą, która w jej sercu zaszła... Znalezienie się Hortensyi nakazywało ostrożność, a nie chciała dla niego być znowu odstręczającą i inną, niż serce kazało. Była to chwila dla obojga straszna do prze-

bycia — pierwsze widzenie się potem zbliżeniu serdecznem. kiedy wrócić musieli do dawnego stosunku. Robert daleko mniej znajdował w sobie siły i mniej się obrachowywał — rzucenie nim rządziło. U Ady rozum, do którego panowania nawykła brał górę...

Powiedziała sobie zawczasu: — Będę taką jaką byłam dawniej — a nagrodzę mu to, gdy się znajdziemy sami. Ludzie — niech mówią co chcą. — Przez okna wychodzące na ogród zobaczyła Roberta idącego z pułkownikiem. przywitała go mile i pośpieszyła na werandę, sądząc, że tam jeszcze nie znajdzie nikogo. W kątku siedziała nad robotą zamyślona panna Karolina, której może trochę tęskno było po odjeździe Karola... Spotkali się na wschodkach, Ada mu podała rękę jak zwykle, ale oczy jej śmiejące się, jasne, kazały pamiętać na wieczór wczorajszy.

— Dobrześ pan zrobił, że przyjechałeś — rzekła. — Ruszków coraz puściejszy się robi. Wiesz pan, że Hortensya nas chce opuścić?

— Właśnie słyszałem o tem od pułkownika — odezwał się Robert...

— Zdaje się jej, że jest chorą — rzekła pani domu... My wszystkie stare panny, mamy takie przywidzenia i fantazy!!

Zaledwie domówiła tych wyrazów, gdy kanonik razem z Hortensyą nadszedł. Był wielce tego dnia chmurny i poważny, a milczący. Z dala, z widocznem lekceważeniem zaledwie głową poruszył, odpowiadając na przywitanie Roberta i siadł z daleka. Panna Hortensya nawet się nie witając z przybyłym, poszła szukać roboty. Ada umyślnie przystąpiła do Jazygi i głośną z nim zaczęła rozmowę, podżartowując z jego niezmiernie gorliwego gospodarstwa i z robienia fortuny na Zahajach.

Ośmielony Robert także mówił wesoło, przyznając się, że miłość własna, więcej niż chciwość zarobku

dodawała mu zapалу—aby pokazał, że przecie potrafi coś na pierwszym swem gospodarstwie...

Ani kanonik, który książkę jakąś wzięwszy ze stołu, przewracał ją od niechcenia, ani Hortensya zajęta robotą—nie mieszała się do głośnej rozmowy. Pomagał tylko pułkownik. Gospodyni dopytywała potem, co się z malarzem dzieje i czy już podarł swoją bitwę z Tatarami? Złośliwie nieco spytała Karoliny, czy ona o tem nie wie? Karusia oczy podniosła, nie umiała słowa powiedzieć, i spuściła je żywo na robotę swoją.

Własnie dla tego, iż Hortensya tego dnia musiała na każdy krok jej pilniejszą zwracać uwagę, Ada, niepostrzeżenie dawszy znak oczyma Robertowi, powoli wyszła z nim rozmawiając do pustego salonu. Byli tu wprawdzie na oczach tym, co zostali pod werandą, ale rozmowy ich nie mógł nikt posłyszeć...

— Zdaje mi się — odezwała się Ada po cichu — że naszego spotkania i rozmowy mieliśmy nieproszonego świadka...

Robert ręce załamał, ona się uśmiechnęła z odwagą i rezygnacją.

— Oprócz Boga, który był naszego ślubu braterskiego świadkiem — dodała — panna Hortensya..., chociaż to jeszcze trochę ciemne... musiała tam być gdzieś ukryta.

— Ale — nie trwóż się tak bardzo — wtrąciła, widząc, że Robert twarz zakrył rękami. — Każdy ruch twój i mój jest widziany... rejestrowany. Stało się — czyste mając sumienie — jak my możemy znieść potwarze — i na nie uwagi nie zwracać. Podała mu rękę zręcznie tak, aby ruch ten nie mógł być postrzeżony...

— Trzeba mieć odwagę, choćby głośno wyznawać, to czem się żyje po cichu — rzekła. — Ty bracie — ja, musimy być przygotowani na zniesienie wielu

przykrości na walkę niejedną. Mnie mężstwa nie brak...

— I mnie go nie zabraknie — odezwał się Robert stłumionym głosem, spoglądając ku werandzie. — Gdybym tylko ja miał cierpieć... a! byłbym wesół i szczęśliwy boleścią, ale dzielić ją z tobą i nią płacić za twą anielską dobroć...

— Dobroć! jaką? ale ja jestem egoistką! potrzebo-
wałam duszy bratniej, zdobyłam ją... Skarb ten warto
czemś opłacić...

Mówiła z takim mężstwem i zapalem, że Robert
też uczuł się silniejszym.

— Chciałbym każdy wyraz twój wyryć w niej pa-
mięci... o moja siostro droga!

— Cyt rzekła Ada — pomnijmy, że tym, co na
nas patrzą, winniśmy się wydawać obojętnie rozma-
wiającymi o literaturze... Lepiej będzie może nawet
na dziś... gdy wrócimy pod werandę. Tych kilka
słów ci tylko byłam winna, aby między naszym wie-
czorem a dniem dzisiejszym nie było przerwy i mil-
czenia...

Pochyliła się ku oknu gospodyni i wezwała puł-
kownika.

— Chodź że pan do nas! — rzekła — nie zostawiaj
nas tak samych...

Brandys pospieszył. Od rana nie miała zręcz-
ności mówić z nim Ada, i spytała go cicho, przy Ro-
bercie:

— Cóż Hortensya?

— Podziękowała mi, mówiąc, że jeszcze wiele ma
do przygotowania... Dzień nie oznaczony...

— To zupełnie od niej samej zależeć będzie...

Znowu o obojętnych rzeczach mówili we troje.
Hortensya choć miała oczy spnszczone na robotę,
zręcznie strzelała niemi na młodą parę, na pułkowni-
ka, niekiedy na kanonika, który książkę przerzynał
zawsze, choć widać było, że ona go nie zajmowała
wcale...

Po chwili Ada wróciła na werandę. Zostawiła Roberta z pułkownikiem i zbliżyła się do kanonika, zapytując go, jaką książką tak pilnie się zajął?

— Jedną z tych, z którymi się nie zwykłem spotykać — odparł kanonik. — Tu u pani czasem się wcale niespodziane robi znajomości. Do jednej z tych należy ten „Żywot“ przez Renan’a.... Jestem zdumiony, że pani klasć go możesz na stole...

— A! mój ojciec! — odpowiedziała Ada spokojnie — dzieci u mnie nie ma, dla których mógłby być niebezpieczny — starszym dla ugruntowania się w wierze nie ma pożyteczniejszego nad poznanie się z niedołęzną krytyką, która drobnostki kruszy — aby wielki gmach jeszcze potężniej wystąpił!

— To bardzo szczęśliwie, iż pani tak pojmujesz bezbożne i bezsilne porywy mędrków — odparł kanonik — ale nie wszystkie umysły są tak zbrojne...

— Zatem Renan’a wrzucmy do pieca — odparła Ada — choć za pannę Hortensyę ręczę, że go nie ruszyła — a (ciszej dodała) za Karusię, że go nie zrozumie.

Kanonik słuchał z twarzą surową.

— Pani bywasz tak bardzo tolerującą — rzekł — że to czasem na indyferentyzm zakrawa.

— Nie, mój ojciec — odezwała się Ada — tylko w mem przekonaniu — swoboda myśli nie może wierze być szkodliwa... I ja wyznaję tę zasadę — że fałszom nie trzeba ust zamykać, aby się im nie zdawało, że dla nas są groźne.

— Pamiętać jednak i na to należy — dodał surowo kanonik — że kościół szerzenia fałszywych doktryn zabrania.

— Tak, palono książki na stosach, to wiemy — rzekła Ada — ale myśli w nich zawarte spalić się nie dały z niemi!... Myśl tylko myślą, rozumowaniem zwalczyć się daje... nie ogniem i nie zakazem...

— Nowe teorye i nie przeto lepsze — odparł kanonik... — Są ludzie, nie przeczę co jak Mitrydat nie lę-

kają się trucizny. bo wzięli antydot zawczasu—ale iluż ich potruć się może!

Poważna ta rozmowa wstrzymała Adę przy kanoniku. który niechętnie ją prowadził, odpowiadając niemal pogardliwie.

— Mogę być w błędzie — zakończyła gospodyni...— może mam w sobie trochę buntowniczego ducha matki Ewy, której zakazany owoc smakował.. ale mi się zwyciężyć w tem trudno...

Westchnęła...

Służący. który oznajmił herbatę. powołał wszystkich do pokoju jadalnego, gdzie już był dwór zgromadzony. oprócz Oblęckiego.

— Pana Mirosława nie ma? — zapytała pani.

— Pukałem do drzwi jego — ozwał się Robert — nimeśmy tu przyszli; odpowiedział mi, że ani wyjść ani przyjąć nikogo nie może..

— Karton jeszcze nie podarty?— spytała Ada.

— Zdaje się, że dotąd pracuje nad nim. dołożył pułkownik. Wziął sobie do serca niedawną rozmowę... chce zwyciężyć się i raz stworzyć coś takiego coby dla niego samego było znośnem.

— Przyznam się. że jestem niezmiernie ciekawa — odezwała się Ada.— Karusia nam będzie przygotowywała herbatę. a my zrobmy wszyscy wyprawę pod drzwi artysty... Otworzyć mi musi... zobaczymy choć raz mistrza przy tworzeniu! Biedny mistrz! biedna twórczość!... Idziemy?— spytała, oglądając się Ada.

Pułkownik i Robert zameldowali się do towarzyszenia gospodyni. Kanonik podziękował, Hortensya nawet nie podniosła głowy...

We troje więc skierowali się ku drzwiom pracowni Mirosława w oficynie. Ada szła przodem zamyślona. poważna, niekiedy spoglądając na Roberta i rzucając mu słowo... Gdy stanęli u progu. sama pani zapukała.

— Kto tam?

— Ja — w imię praw gospodyni i przyjaciółki, rozkazuję: Sezamie — otwórz się!

Wykrzyk słyhać było wewnątrz.

— Pani! litości...

— Nie mam jej, otwieraj drzwi albo je wyłamujemy... Pokory—artysto... rezygnacyi... Ja nie jestem surowym krytykiem... Po raz pierwszy, drugi, trzeci... Sezamie...

W tej chwili rygiel odsunął się. Obłęcki stał blady, z włosami straszliwie porozrzucanemi, z małsztokiem w ręku, z palcami węglem zamazanemi... Ogromne ramy, które już nieraz do podobnych niefortunnych prób używane były, zajmowały niemal izbę całą...

— Al! pani istotnie litości nie masz! więcej ciekawości niż miłosierdzia.

— Łaj, ale słuchaj—odpowiedziała Ada ..—Obłęcki ze smutną twarzą patrzył na wkraczających za nią Brandysa i Jazygę. Był zmieszany, zdrętwiały—jak człowiek, którego by po łaźni nagle zimną wodą oblać... Nie ruszał się z miejsca — oczy wlepiwszy w ziemię.

Ada stała już przed kartonem, na którym pierwszym rzutem oka, nic nad chaos linii, mozaikę światła i cieni widać nie było. Tylko oko artysty mogło się znaleźć w tych ciemnościach, półcieniach, błyskach dziwnych... i bezkształtnych kształtach... Tam gdzie Obłęcki widział postacie oczyma duszy.—wzrok śmiertelnika spotykał kłęby nieforemne... W tem wszystkim jednak był szalony jakiś ogień i werwa... Gdzie niegdzie twarz dzika patrzyła wykończona nieco więcej. ówdzie tors, ręce konwulsyjnie podniesione... ciała zgniecione na masę...

Ada rozczarowana patrzyła z razu.

— Tłómacz pan—rzekła do Obłęckiego... — jest to szkic, którego my bez objaśnienia nie ocenimy...

— A ja go sam jutro -- może już dziś nie potrafię wytłumaczyć—smutnie rzekł Obłęcki. — Bitwa tak mi

się we śnie gorączkowym przedstawiła przed oczyma duszy mojej... Rysowałem w gorączce...

— Śniło się to pann? — zapytała Ada, której wlaśny sen na myśl przyszedł i zarumienił jej lice...

— Tak — pierwsza myśl obrazu przyszła mi — niestety — we śnie — rzekł artysta. Chciałem ogólne jej najprzód wrażenie rzucić na karton — potem wyśnić na jawie szczegóły... Ale między snem, w którym jakieś władze były spotężnione, a inne skrępowane, by im nie przeszkadzały — między marzeniem a człowiekiem przebudzonym — jakaż różnica!... We śnie byłem może mistrzem — na jawie jestem niedołęgą...

Sen i jawa! co za zagadki! — westchnął Obłęcki.

Czuła to piękna pani i oczy spuściła ku ziemi... I jej sen w części się tylko dał wcielić... Tak że ze wszystkimi marzeniami byćby miało?...

— Panie Mirosławie — rzekła — wytrwajże raz i z natchnieniem połącz pracę.

— Aby ona pierwsze zabiła! — uśmiechnął się smutno Obłęcki. Są natury tak harmonijne. tak zgodne w sobie, że u nich w parze idzie jedno i drugie... jak brat z siostrą...

Ada zarumieniła się, ale spojrzała na Roberta, który stał zmieszany.

— U mnie — kończył artysta — praca jest tą nie-szczęśliwą matką. co dziecię tuląc, dusi je w swych objęciach...

— Niestety! — dokończyła Ada. — Zlituj się jednak — raz, choćby coś niepełnego, nieodpowiadającego myśli — stwórz i daj mn żyć...

— Na co? — odparł Obłęcki — do życia mają prawo tylko arcydzieła. Spartanie, czy nie wiem tam kto. kaleków topili — i mieli słuszność.

— Jak gdyby w kalece nie mógł mieszkać duch Boży — i on nie miał prawa do życia!.

Pan Mirosław stał ze smutnie spuszczoną głową. Pałkownik z tyłu za nim wpatrywał się w karton, zdumiony dziwnie... Nie widział na nim nic, oprócz

straszliwie poplątanych linii, — i z politowaniem rzucał czasem okiem na Oblęckiego.

Mirosław widząc zadumaną Adę przed obrazem, zaczął się na nowo okazywać mu zajęciem rozgrzewać...

— Pani nie widzi—zawołał—tu, ta plama... to wódz tatarskiej dziczy — i jego orszak.. Nad nimi chorągiew piekielna, z której dym bcha i płomień, jak olbrzymie rozplecione jej warkocze... Tam dalej... dymy się mienią w całe wojsko zjawisk szatańskich.. Tu stoi heroiczny hetman i falanga wiernych z pobożną pieśnią na ustach...

Wszystkiego tego dojrzeć było trudno —ale Oblęcki to widział, i za nim idąc oczyma, widziano, jak wyłaniały się z chaosu jakby kształty jakieś senne...

Mówiąc to, przystąpił do kartonn... mimowolnie drżącą ręką począł dodawać rysy -- lice mu się paliło... zapomniał o patrzących, o tłumaczeniu, o świetle, i zatopiony znów w kompozycji swej, już się od niej ani odezwał, ani odwrócił.

Milczeli wszyscy, szanując to natchnienie. Ada odeszła na palcach, ciągnąc za sobą towarzyszków, przymknęto drzwi po cichu... W pracowni słyszeć tylko było szorstkie tarcie węgla po papierze...

Jednego dnia, o godzinie, w której zwykle pocztę przynoszono pannie Pretwiczównie, znalazło się wśród zwykłych dzienników więcej listów, niż ich była zwykła odbierać. Ada nie lubiła ich pisać i nie miała tych licznych, po świetle rozproszonych znajomości, którychby potrzebowała, jak panna Hortensya, obsyłać listami.

Zdziwiona mocno. sądziła z początku. iż przez omyłkę przyniesiono jej korespondencyę kuzynki. która, pomimo zapowiedzianego wyjazdu i czynionych doń przygotowań, zwlekała z opuszczeniem Ruskowa. Rozpatrzenie się w kopertach przekonało ją jednak. że pisma te wszystkie do niej adresowane były... Sama ich liczba musiała zadziwić—bo się dziwnie zeszyły w dniu jednym, jak gdyby to było umówione. Zmarszczyła brwi i drgnęła niespokojna...

Po piśmie łatwo jej było poznać. od kogo pochodziły. Na jednej z kopert adres był znaną ręką pana radcy tajnego, na drugim panna Dyakowska wyręczyła szambelanową, w trzecim domysliła się pana Karola, czwarty był od hrabiego Hernasza. który należał też do rodziny...

Hrabia od bardzo dawna zaniedbał był wszelkie z Ruskowem stosunki. Po śmierci matki, gdy się do niego udała Ada w początku o pomoc i opiekę. kuzyn bardzo grzecznie wymówił się własnymi interesami od udziału w opiece; później. gdy zwycięzko wyszła Ada z zawikłań majątkowych. hrabia z żoną przybył do Ruskowa, wioząc z sobą syna. z widocznym zamiarem przedstawienia go jako pretendenta do ręki i majątku kuzynki. Ada przyjęła ich tak chłodno, z tak wyszukaną a niedopuszczającą najmniejszego zbliżenia się grzecznością—iż po tej próbie hrabiowstwo już jej nie ponawiali.

Cztery listy!! — mówiła do siebie, nie wiedząc który ma rozpieczętować pierwszy... Przyszła jej myśl familijnego spisku... którego spreżyny mogła się domyślać w kochanej pannie Hortensyi. Było to jasnowidzenie.. Z rezygnacyą złożyła przed sobą korespondencyę: — zbliżała się chwila walki przewidywanej — czuła rodzina miała ją ratować od zguby na brzegu przepaści.

Ze czterech listów wybrała ten. w którym domyslała się ręki pana Karola.

Najmniej się go obawiała. W istocie, pismo było od niego... Dowcipny w rozmowie pan Karol, któremu nigdy na żywej odpowiedzi nie zbywało — wziąwszy pióro do ręki męczył się z niem i — pisać nie umiał. Mówcom zwykle brak tego talentu. tak jak tym co piszą, rzadko bywa dany dar żywego słowa... List Karola był okrutnym wysiłkiem. Zaczynał się najprzód od wyznania nieudolności do pisania, długim wstępem, z nieskończonemi frazesami. pełnemi nawiasów i niepotrzebnych dodatków...

— „Gdy wyjeżdżał z Ruszkowa — mówił dalej — byłaś dla mnie tak łaskawa, tak dobra, żeś mi pozwoliła się uciec do siebie w potrzebie... To mnie upoważnia do kroku śmiałego — do ucieczenia się ku tobie w sprawie jej własnej... Są dusze gorliwe o cudze dobro i zbawienie, które lubią krzyczeć i hałasować, nawet gdy najmniejszego nie ma niebezpieczeństwa... Jedna z tych nieproszonych opiekunek upatrzyła, że ty, szanowna pani, znajdujesz się w takim straszliwym razie, potrzebując ratunku...

Cała rodzina wezwana jest podobno, aby ci go niosła... Czaję się do obowiązku oznajmienia o tem, abys się najazdem nie przestraszyła. ratunkiem nie była oburzona, aby cię nie napadnięto niespodzianie...

Miedzy innemi wezwana jest i szambelanowa, jak gdyby szło o renons w partyi wista... jedyny wypadek, w którym ona powagą być może... Szambelanowa, oprócz panny Dyakowskiej. może mnie wezwać. abym jej towarzyszył w podróży. W takim razie i ja się muszę stawić. lecz chcę uprzedzić, że przyjadę jako sprzymierzeniec nie wróg... na twoje rozkazy.“

List ten już prawie zbyt czynnem czynił rozpamiętywanie pozostałych. Szambelanowa w wyrazach najczulszych oznajmowała, że była stęskniona do drogiej Ady i — mimo wieku a odwyknienia od podróży. odwiedzić ją postanowiła... Prosiła, aby jej tam kącieczek jaki przygotowano... Panna Dyakowska i Karol towarzyszyć jej mieli...

Hrabia Hernasz mówił w liście, iż miał sobie srodze do wyrzucenia, że mu domowe jego sprawy nie dozwoliły dotąd złożyć uszanowania w Ruszkowie... Bolało go to tak, iż nareszcie postanowił wszystko opuścić i stawić się z żoną. aby się łaskawej pamięci i sercu kuzynki przypomnieć.

List pana radcy tajnego. w urzędowym stylu. oznajmował po prostu, iż tego a tego dnia będzie miał honor służyć w Ruszkowie..

Przebiegłszy oczyma pisma te — Ada odsunęła je i zadumała się mocno. Kuratela rozciągnięta nad nią oburzała ją tak mocno, że w początku pomyślała o wyjeździe za granicę... Krótkie zastanowienie się zmieniło wprędce myśl natchnioną gniewem. Byłaby to ucieczka, odroczenie, ale nie rozwiązanie trudności — niegodne jej... niemal przyznanie się do winy i słabości. Woląa mężnie stawić czoło... a wyzwana nie odpychać walki.

Od owego pamiętnego wieczoru stosunki jej z Robertem pozostały na tym stopniu, na jakim je chwila uniesienia, nierozważnego może, ale serdecznego postawiła. Ada była czułą siostrą, Robert bratem rozkochanym. lecz zawsze jeszcze o niczem więcej mowy nie było — prócz wiekuistego braterstwa... Czy ono starczyło obojgu? czy wierzyli w to co mówili? czy to był tylko sposób, którym osładzali oczekiwanie?...

Robert nie śmiał przejść zakreślonej mu granicy. Ada, którą przerażało czasem wspomnienie tego wieczoru i rumieniec wstydu na twarz wywoływało — przysięgała sobie. iż nie da się opanować uczuciu!...

Jak dawniej będąc z sobą w salonie, czasem na krótką chwilę, mógł poufale mówić bez świadków. Ale Ada nie chodziła już Kasi odwiedzać... Robert bywał u pułkownika. spotykali się przypadkiem w parku. Były to kradzione chwile, bo panna Hortensya szpiegowała...

Listy oznajmujące o najeździe familijnym. po chwili namysłu, znalazły ją przygotowaną na przyję-

cie tych odwiedzin tak, jakby ich znaczenia nie rozumiała... Drżącą nieco ręką zadzwoniła, aby poproszono pułkownika, bez którego rady nic czynić nie chciała—ale zwierzyć mu się nie myślała...

Brandys już ubrany jak do obiadu, stawiał się z nią wesołą i podkreconym swym siwym wąsikiem. Ada przybrała wyraz obojętny, niemal wesoły...

— Pułkowniku — spotkała go w progu — ciesz się! będziemy mieli miłych gości, Ruszków się ożywi. Wyrzucasz mi zawsze moje upodobanie w samotności. Tym razem kłopotu ci aż narobię.

— A! żadnego w świecie? Któż przyjeżdża? Chyba radca...

— Ale nie on jeden... Zjeżdża się niemal cała rodzina... Złożyło się to dziwnie, lecz wolę, że razem będą, łatwiej mi ich będzie przyjąć i zabawić.

Brandys się nieco zafrasował.

— A dużoż to będzie osób? — spytał.

— Radca najprzód, szambelanowa z panuą Dyakowską i zapewne panem Karolem, naostatek — nie wiem już czy ich sobie przypominasz — hrabiostwo Hernaszowie.

— Trochę — wybąknął pułkownik — pocierając łysinę...

Gospodyni spojrzała na twarz jego, która zdradzała, że niezbyt był ucieszony liczbą gości.

— Nie frasuj się, pułkowniku — rzekła: — Szambelanowa stanie koło mnie, w dwóch pokojach gościnnych; radca na górze, jak zwykle; Hernaszowie w dworku ogrodowym, a pan Karol — a! gdziekolwiek! Z nim nie ma ceremonii.

— I kiedyż to się mamy ich spodziewać? — zapytał pułkownik.

— Czuwajmy, bo nie wiemy ani dnia, ani godziny — wesoło dokończyła Ada. Przepraszam cię za kłopot... ale cóż robić!

— A! kłopot — podchwycił Brandys — gdyby on był tylko dla mnie — ale mi moją dobrodziejkę zanudzą!

— Wszystkiego w świecie próbować potrzeba, nawet nudów... — westchnęła Ada — ja heroicznie je zniósę...

Po krótkim jeszcze rozpytaniu się o szczegóły, wyszedł Brandys, lecz za progiem nie mógł się wstrzymać od: — A! niechże ich wszyscy... Zatulił sobie usta i pociągnął z głową zwieszoną — dysponować służbie przygotowania...

Panna Hortensya od zapowiedzianego wyjazdu, ciągle się zdala od Ady trzymała, mówiła mało, siedziała zadumana, patrzyła po ścianach, pokazywała jawnie, iż ją smutek pożerał. Wszystko to obojętnie przyjmowała gospodyni... Przygotowania do wyjazdu szły tak powolnie, jakby czekano, żeby je ktoś siłą zahamował i przeciw nim zaprotestował. Rolę tę podobno przeznaczono szambelanowej, która nie miała dozwolić, aby Hortensya opuszczała osierociałą Adę.

Tego dnia wyszedłszy do salonu, gospodyni zwróciła się ku kuzynce...

— Będziemy mieli gości licznych i pożądaných, rzekła.—Nie wiesz o tem? czy ci nie donoszono?

— Mnie! mnie! a któż mi miał donosić, i dla czego?—Ja tu przecie nic nie znaczę i jestem rezydentką na łasce... Cóż to do mnie należy!—zawołała opryskliwie Hortensya, cała wzburzona; bo zrozumiała dobrze cel i znaczenie tych wyrazów...

— No, więc ja pierwsza ci zwiastuję szambelanową z Dyakowską i panem Karolem, radcą a nawet hrabstwo Hernaszów...

Ze spuszczonemi oczyma wysłuchiwała panna Hortensya, nie odpowiadając nic. Ada ndowała wesołość i obojętność.

— Niezmiernie rada temu zjazdowi familijnemu — rzekła — za rzadko się widzimy i w ważniejszych sprawach życia zwierzyć się nie mam nikomu... Radzić się nie lubię — ale podzielić myślą — zwłaszcza gdy się coś stanowczego zamierza...

Wyrazy te ogólne, miały na celu nastraszyć Hortensyę. i dopięły tego. Zbladła. będąc pewna już, że Ada przeciw wszystkim gotowa podnieść buntu chorągiew.

Na tem się skończyło. Jak tylko się wymknąć mogła, poszła z kanonikiem podzielić się tą wiadomością kuzynki. Hrabia de Bello spytał chłodno. jak wiadomość przyjęła Ada?

— A! z zupełną obojętnością — wcale nie mieszała... Nie ma już ani wstydu. ani pomiarkowania...

Sądu tego nie potwierdził kanonik. W ciągu dnia gospodyni zajmowała się żywo urządzeniem mieszkan dla gości. Cały dom był już o ich przybyciu blizkiem uwiadomiony... Robert, który czasem dzień po dniu. lub co najdalej przez dzień przyjeżdżał do Ruszkowa. co panna Hortensya nazywała „febrą“ — przybył wieczorem. Przechadzka po sali przed werandą dozwoliła się rozmówić poufnie.

— Spisek na mnie uknuto — odezwała się Ada do niego. Ludzie. którzy czystego przywiązania. związków serc zrozumieć nie chcą. i po swojemu każdy stosunek tłómaczą trywialnie. muszą mi przypisywać. że zamierzam wydać się za mąż za ciebie... Zbuutowano całą moją rodzinę. ażeby przeciw kryminałowi temu protestowała. wstrzymała mnie na brzegu przepaści! Dziś—jutro. po jutrze. nie wiem kiedy. zjeżdża się tu co żyje... aby mnie uczyć rozumu... Mówiłam ci o moim opiekunie nominalnym, pann radcy. wiesz o szambelanowej. znasz pana Karola. . Do nich dodać trzeba hrabiostwo Hernaszów...

Robert pobladł słuchając.

— Zaklinam cię na wasze przywiązanie braterskie—dodała,—abyś w trybie życia. w stosunkach ze mną. z powodu przybycia rodziny. nic—na włos nie odnieniał! Nakazuję ci powagą siostry. proszę—ażebyś przyjeżdżał jak zawsze... nie rzadziej... Inaczej myśleliby. że ja się ich lękam. i że ty się ich obawiasz. Skompromitowałbys mnie i—pogniewał...

— Ale... siostró kochana..

— Żadnego. żadnego ale... to wola moja. a wiesz. że masz siostrę samowolną, despotyczną... i że — musisz jej słuchać. boby cię nie kochała.. Wyciągnęła ręce ku niemu.

— Myślisz, że mnie to nie zrobi przykrości — bólu? Cierp ze mną. Wiem. że nie jedno spojrzenie, wyraz cię nie jeden zadrasnie... Uczyni ofiarę dla mnie.

— Nie ma którejbym odmówił, zawołał Robert — będę posłuszny.

— Zdaje mi się, że ta próba zaopiekowania się moją małoletnością będzie ostatnia — dodała Ada.. należy ją przetrwać mężnie, nie zmrznięwszy oka.

A widząc, że Robert stał smutny i niemy. śmiejąc się wprowadziła go do drugiego pokoju, głowę złożyła na jego ramieniu, podniosła czoło ku jego ustom... chłopak nie był już panem siebie. i chwyciwszy ją w pól — nie w czoło — pocałował ją gorączkowo w usta... Ada odepchnęła go silnie... i drżąc. na pól omdlała, natychmiast znów ręką go przyciągnęła ku sobie...

— To nie braterski pocałunek — rzekła głosem słabym... Robertcie — ja się gniewam...

Ale w głosie jej gniewu nie było, czuć było omdlenie, i uśmiechając się przeprowadziła go do salonu... kończąc dawną rozmowę.

Robert zaklinał, aby mu przebaczyła zuchwałość; potrzasała głową groźnie ciągle .. lecz o gniewie mowy nie było. tylko o tem. ażeby Jazyga nie zapomniał co mu przepisano.

Epizodu tego w bocznym pokoju, który nie trwał nad oka mgnienie, nikt nie widział z ludzi — lecz oko panny Hortensyi mogło się niemal domyślać jakiegos namiętniejszego zbliżenia. tak Ada dziwnie była poruszona. złagodniała. podrażniona przez wieczór cały... Robert też miał fizyognomię winowajcy zawsty-

dzonemu, upokorzonemu — nieszczęśliwego szczęściem skradzionemu. Kanonika, co czytał w ludzkich twarzach spokojnem okiem wyższego nad namiętności człowieka, nie było tego wieczoru. Wyjechał pod jakimś pozorem dla spotkania się w umówionej miejscinie z radcą i dla ustnej z nim narady...

Dwa dni minęły... drugiego Robert był znowu. . o gościach nie było słychn. Ada unikała teraz oddalenia się z Robertem od towarzystwa.

— Nie zasługujesz na zaufanie, rzekła mu na wpół żartobliwie. To nie po bratersku... Boję się ciebie...

Jazyga brał to ściśle jak było powiedziano, wyrzucał sobie swą zbrodnię, martwił się tem i zaręczał, że na przyszłość będzie panem siebie...

Ada miała mu wprawdzie za złe ten poryw namiętny—gniewała się niby — lecz — dla czego teraz stał się jej jeszcze droższym. miłszym jeszcze...? nie wiedziała. Był to może skutek litości nad słabością jego...

Łudziła sama siebie tem braterstwem, które ją uspakajało na dziś...

Jutro? nie patrzyła w przepaści jutra! Każda miłość dniem dzisiejszym żyje, a któraż ma jutro??

Z rana dnia trzeciego, gdy wszyscy byli w kaplicy, bo przejeżdżający Bernardyn wstąpił ze mszą świętą, zajechała stara karetka szambelanowej i kocznyk, w którym siedział pan Karol. Służba stojąca w ganku, wiedząc już o mieszkaniu, wskazała je natychmiast. oznajmując, że pani jest na mszy.

Zmęczona drogą staruszka poszła spocząć w swoich pokojach, a pan Karol skierował się ku kaplicy. Gdy po nabożeństwie wstała od klęcznika swojego Ada. pierwszą twarzą, którą zobaczyła we drzwiach, była Karola. Wołała na ten raz, że od niego się zaczynało, i powitała wesoło...

— Jest szambelanowa?

— Przywiozłem ją czy ona mnie—rzekł Karol,—bo to pytanie nie rozstrzygnięte... Musiałem jechać. bo na noclegach. ja i panna Dyakowska, mogliśmy sformować wista z dziadkiem, inaczej nie dojechałaby pewnie i umarła z tęsknoty do niego!

Ada poszła natychmiast do szambelanowej. a tuż w ślad za nią biegła Hortensya, która tylko bolała, że pierwszą tam być nie mogła.

Im przybycie groźniejszym się obiecywało, tem Ada musiała być weselsza i szczęśliwsza... Szambelanowa też nieprawdzą kwasów, rada była. że na nie nie trafiła. Ścisła — śmiała się i z góry już sobie zapowiedziała. że dopóki inni nie zagają sprawy, ona jej pewno nie rozpocznie. Gospodyni wyszła. zostawiając Hortensyę... która zaledwie się drzwi za nią zamknęły. rzuciła się w objęcia szambelanowej.

— A! złota moja! wołała — dobrze, prawdziwie po chrześcijańsku postąpiliście przybywając ją ratować! Włosy na głowie powstają co się tu dzieje. Wy nie macie o tem wyobrażenia. Jest to bezwstyd — rozamiętnienie. zapomnienie się, brawowanie!... Na to wyrazu nie ma...

— Ale, zmiłuj się—przerwała Dyakowska.

— Za mało mówię—dodała Hortensya—za mało... nie chcę powiedzieć więcej, aby nst sobie nie walać. To kobieta zgubiona...

— Ja bo zawsze mówiłam, przebaknęła szambelanowa: nie ma nic niebezpieczniejszego nad takie zakonserwowane stare panieństwo.

Zapomniała staruszka, że mówiła to w obec dwóch panien dobrze niemłodych. Hortensya zaprotestowała. Dyakowska się obruszyła. Szambelanowa ramionami rzuciła.

— A! nie bierzcie tego do siebie, moja Hortensyo... hm! (schyliła się jej do ucha, a panna odskoczyła zmieszana)... Spojrzała na Dyakowską zarumienioną — i dodała: To wcale co innego!

— El o was to się ja już nie boję! — szepnęła szambelanowa, i zmieniając rozmowę, zwróciła się do swej towarzyszki.

— Dyakosiu, serce moje, aniele opiekuńczy, zrób, żebym ja dziś słiczna była! Ty to umiesz! Ubierz mnie do twarzy... moja droga. Jak ty zechcesz. będę piękna.

Rozśmiała się... i na tem przerwano, choć Hortensya miała ochotę na ucho opowiadać o tych okropnościach, jakie się tu działy, za które ona się rumieć musiała...

— To potem, moje serce — potem... zakończyła starszka... teraz toaleta... Dyakosiu! zaklinam cię. Jak ty zechcesz — będę ładna...

Uśmiechnięta, pomarszczona twarzyczka pani szambelanowej, choć już, niestety! piękną nie była, ale miała właściwy wdzięk owej starości, która życie trzyma i ślady rysów jak w mumii zachowuje. Szambelanowa winna to była temu, że się zestarzeć — nie chciała.

Pan Karol siedział u Obleckiego i dopytywał o Karolinę, potem powędrował do półkownika...

Ada przeczuwała, że przybycie starszki będzie zapowiedzią innych. Zaturkotało w istocie — ale to był kanonik, przybywający niby z dekanatu swojego, a poprzedzający tajnego radcę. Ten, dla niepoznaki, zatrzymał się był jeszcze w sąsiednim miasteczku... Hrabiewstwo także się opóźnili.

Rodzina niby się dopiero teraz dowiadywała o sobie. Szambelanową cieszyło, że wist był zapewniony, bo i radca grał chętnie — i Brandys nie był od tego — i Karol się dawał zaciągnąć — chociaż robił omyłki i miewał dystrakcye nie do przebaczenia.

Ada, odstępując nieco od zwyczajn. dnia tego wyszła do salonu, ubrana w ciężką suknię koronkami obszytą, piękna, świeża, odmłodzona, z wyrazem ta-

kiej pańskości na twarzy, iż postrzegłszy ją szambelanowa, która lubiła piękność we wszystkich jej objawach, zawołała zachwycona:

— A! Królowa!

W istocie — znać w niej było panią swej woli, nawykłą słuchać tylko natchnień własnych.

W pierwszej rozmowie ze staruszką o swem życiu, zajęciach, sąsiedztwie, Ada się odezwała.

— Sąsiedztwo nieliczne... U mnie mało kto bywa, oprócz jednego młodego człowieka, który, choć młody — ma powagę i takt dojrzałości. Lubię go bardzo. To mój partner, niemal codzienny do rozmowy... Zobaczycie go tu państwo...

Hortensya zbladła jak ściana. Szambelanowa spojrzała na Adę i nie umiała dobrać słowa na odpowiedź. Karol tylko dodał:

— Ja go tu poznałem. Wszak mowa o panu Robercie? Bardzo miły młodzieniec...

W ten sposób odważnie, zuchwale prawie rzuciwszy sama to słowo — zamknęła niem usta drugim. Hortensyi z gniewu łzy stanęły w oczach... Wejrzenie Dyakowskiej ze współczuciem spoczęło na mężnej niewieście... Szambelanowa odwróciła wnet mowę do Warszawy i powzagednich plotek... była zakłopotana. Mówiła sobie w duchu: — Sekretn z tego nie robi. Po cóż myśmy tu przyjechali? Nic już nie poradzimy.

Spojrzała na Karola, ten dał jej znak, że ją rozumie. Gospodyni była w najświetniejszym humorze...

Dzień przedtem niegdyś trzeci... Na wieczór staruszka sobie zawczasu zamówiła do wista pułkownika, Karola i — gdyby nikt inny nie chciał, zapraszała Dyakowską, która w ostateczności tylko przywala.

Lecz przed wieczerą, jak zwykle, zjawił się w salonie, w białym krawacie, z gwiazdą u boku, wy-

świeżony radca — który pomimo wieku ruchy miał młodzieńcze, żywość nadzwyczajną, a formy aż do przesady ceremonialne, etykietałne, pełne słodyczy i grzeczności wyszukanej. Chłód jednak wiał z pod tych błyszczących osłonek.

Ada powitała go z radością wielką, z temi samemi formami etykietałnemi, jakie on zachowywał... Czułe było przywitanie, potem przypominanie się szambelanowej, poznanie się z panem Karolem. protekcyjnalnie dobrotliwe spotkanie z pułkownikiem... Reszta dworu zaprezentowana na nowo, z dała skłonieniem głowy była przyjęta. Radca miał postawę wielce znaczącą, pierś wypukłą, już dla samej gwiazdy, — głowę trzymał do góry, chodził wyprostowany, jednej rękawiczki nigdy prawie nie zdejmował.

Zdala woń paczuli, lekka, delikatna, stłumiona załatywała od niego. Nie było nic piękniejszego nad jego ręce — nic gładszego nad jego świecąca, wygolona broda.

Była to postać, którą mógł los postawić gdzieby chciał, a nigdzieby nie razila niczem — aleby się też niczem nie oznaczała. Twarz gładka, przyzwóicie narysowana, nie miała rysów klasycznych (nos był nawet nieco kartoflowaty), lecz nie była karykaturą, a nadewszystko nie miała wyrazu. Była to maska posłuszna, gotowa nasrożyć się, uśmiechnąć, być groźną i dobrotliwą, oburzoną i łaskawą, pod wrażeniem wiatru, jakiby powiał na nią — maska z gumny elastycznej, giętka, wygodna — a w stanie przejścia będąca nieokreślonym typem ludzkiej nicości... Tak samo rozmowa radcy nie mówiła nic — śmiech się nie śmiał, smutku jego nie można było brać na seryo, nie był zaraźliwy. Z tem wszystkiem mógł uchodzić za wzór najprzyzwoitszego z ludzi — lub automatów.

Radcy w życiu wiodło się, dzięki charakterowi temu giętkiemu, nadzwyczaj szczęśliwie... płynął z prą.

dem w wygodnej łódce, otulony, nie będąc zmuszony robić wiosłem własnoręcznie—wody go niosły, wiatry mu dęły w żagle... Opatrzność nie mogła tak za-cnym człowiekiem nie zajmować się z troskliwością szczególną.

We wszystkich innych życia zadaniach, radca, jak jego twarz, był nadzwyczaj — podatny; nie sprzeczał się nigdy, nie upierał przy niczem. w ostatecznym razie uśmiechał się dwuznacznie i milczał. Jedno tylko mogło mu na twarz rumieniec wywołać i oburzenie z piersi. Każdy człowiek ma swą Achillesową piętę. U radcy były nią zasady zachowawcze i arystokratyczne. Wierzył w ród i krew. nie tłómacząc sobie tego ani systemem Darwina, ani żadnym politycznym — tak — z nawyknięcia... Na ludzi z małego pochodzenia patrzył z góry, wahał się jak hrabia Henryk R... czy z niemi mu się godziło siąść do stołu. nie podawał im ręki... a o połączeniu się — mowy dlań być nie mogło.

W towarzystwie równych sobie był to człowiek miły, bo mówił z łatwością o niczem, nicości przyzwolite, nigdy słowem ostrem i jaskrawem uszu niczyich nie obraził — i nie brakło mu na wspomnieniach zajmujących... Sięgał niemi naturalnie szczególnie tych chwil swojego życia, w których dotknąć się mu trafiło znakomitości;—a z temi był w szczególnie dobrych stosunkach. Kochali go książęta udzielni. czcili dygnitarze, ze łzą w oku rozstawali się z nim ludzie wielcy i sławni, wysoko położeńi. O skromnie pomieszczonych na drabinie społecznej wiedzieć nie chciał... Z radcą wszedł do salonu żywiol ceremonialny. który się odbił zaraz we wszystkim. Spoważniała szambelanowa. Karol się odprostował, wszyscy mieli na siebie baczenie, aby tej gwiazdy promienie nie padały na niegodnych jej światłości.

Mówiono żywo bardzo—a gdyby się kto był spytał o czem—w kwadrans niktby tego nie umiał powtórzyć. To było wielką zaletą tej konwersacyi salono-

wej, podobnej do czystej wody krynicznej, która nikogo nie opoi, nikomu nie zaszkodzi. Kanonik miał wprawę do wtórowania z tego tonu. Karol milczał, gospodyni jedna z nieco wyższego się odzywała, i niemal za każdym jej słowem radca się oglądał nieco nastraszoney. Koloryt ten żywy, pół tonami starano się zharmonizować z ogólnym.

Wist szambelanowej przyszedł do skutku, i nszczęśliwił ją — była zgłodniałą. Siedli doń: radca, pan Karol i pułkownik... Radca nieco się od stołu odsunął, wsparty na łokciu, majestatyczny, widać było, że grał — przez grzeczność. Choć Brandys szlachcicem był i miał tytuł pułkownika, stanowisko jego dwuznaczne w hierarchii społecznej, jako rządcy — raziło radcę... Czasem się trzeba dla rodziny poświęcić.

Wieczór ten zszedł bez najmniejszego fałszywego dźwięku. Ada swe obowiązki gospodyni pełniła ochotczo, zręcznie i z powagą, która kazała zapominąć, że była panną tylko...

Nazajutrz rano, przede mszą jeszcze, powóz czterokonnny stanął u ganku, a z kozła zeskoczył najprzód kamerdyner, po którym bardzo żywo, z powozu samego dobył się niespokojnie oglądając, mężczyzna małego wzrostu, twarzy gąbkowatej, nieznacznej, z oczyma niespokojnemi... Z pod kapelusza miękkiego podróżnego widać było perniczkę ryżawą. Począł się zaraz gorączkowo informować o mieszkaniu, gdy nadchodzący kamerdyner zaofiarował się prowadzić państwa do dworku w parku... dokąd powóz boczną ulicą pociągnął.

Byli to hrabiowstwo Hernaszowie. W chwili gdy on sam wyskoczył pośpiesznie z powozu, za nim wychyliła się instrukcyjna mu jeszcze dająca kobiety młodej twarzy, czerwona, niemal śmiałą, ostrą i niemłą. Mąż ciągle się ku niej zwracał, biorąc rozkazy: ona gderała ciągle, okazując srogie nienakontentowanie, którego wyraz mąż oddawał zaraz służącemu... Tak

inarszcząc się i kwasząc wszyscy znikli w alei wiodącej do dworku...

Stał on niedaleko, ukryty w drzewach, i stanowił sam piękny apartament gościnny. Niedgdyś mieszkał w nim ojciec Ady, którego obyczaje i nawyki w pałacu mu wytrwać nie dawały. On to sobie pobudował to cacko, które stało teraz puste, zaludnione bardzo niemiłemi wspomnieniami. Ada pomijała ten dworek, w ostateczności tylko mieszczono w nim kogos—co o przeszłości nie wiedział. Utrzymywany był mimo to opuszczenie w porządku, i z niego powziąć było można wyobrażenie o sybarytyzmie nieboszczyka.

Dworek ten wygodniejszy był od pałacu, miał salon przesliczny, wybity skórami złożonemi, billardowy pokój, jadalny, łazienkę, sypialnię w kształcie namiotu wytworną, i co tylko dla wygody wymyślić się dało. Nieboszczyk Pretwicz nie zapominał o sobie...

Ada, pomimo wstrętu do tego dworku, poszła, przemógłszy się, odwiedzić pierwsza hrabiowstwo. Stała już ich w jednej z tych wiecznych kłótni, które stanowiły chroniczną formę ich pożycia... Mały pękaty hrabia stał i słuchał, żona mu wyrzucała wszystkie jego przestępstwa w podróży, zapomnienia, omyłki, co cierpiała z jego powodu i t. p. Z obowiązku musiał to przyjmować małżonek, bo opuszczenie stanowiska liczyło mu się za zbrodnię.

Hrabina była zawsze kwaśną, całe życie chorą—a po podróży wszystkie te symptomata jeszcze wybitniej występowały. Nad zdrowiem jej małżonek czuwać był zmuszony ciągle—czuwał. Żona jego Madame la Comtesse Euphemie — przyniosła mu do tytułu — szkatułkę, — cała świetność domu z niej płynęła; mąż czuł się do obowiązków wypłacania za dobrodziejstwo. Hrabia też nie miał ani własnego zdania, ani myśli, ani woli... Nie ważył się czynić nic, nie wzięwszy rozkazów, i nigdy żonie samowolnością nie nchybił.

Posuwała się ona czasem, jakby próbując swej potęgi. tak daleko—że u stołu zabraniała mu jesć. zakazywała pić... słowem wchodziła w najmniejsze drobnostki. Mogło to ujść za dowód troskliwości o zdrowie hrabiego, ale go czyniło śmiesznym.

Hrabina, której pochodzenie oryentalne jakieś, nieoznaczonej narodowości, nie dawało praw do arystokracji — tem silniej stała przy jej poszanowaniu. Na jej biletach stało: *née Comtesse de Henri-ci-Commoduro da Trento...* Wyglądało to tak zamaszyscie że nikt już głębiej nie zaglądał.

Hrabia miał lat ze szesćdziesiąt — od dziesięciu nosił, za pozwoleniem żony. perukę; hrabina musiała mieć lat pięćdziesiąt, choć twarz jej należała do tych, co nigdy młodemi nie były i nigdy bardzo staremi się nie wydają. Skutkiem choroby jakiejś—barwa jej lica była czerwona, a niekiedy przechodziła w siną. Koloryt najsilniejszy skupiał się na nosie dużym i w dwóch podłużnych plamach na policzkach. Usiłowano go złagodzić. gdy *poudre de riz* został wynaleziony—lecz puder ten, dla zbytnej gładkości skóry, nie trzymał się i opadał. O piękność swą zresztą hrabina mało dbała—o strój niewiele. Oboje byli skąpi i chciwi. a pyszni... Ada powitała ich przyszedłszy twarzą jak mogła najweselszą. przeprosiła, że ich umieszcza we dworcu dla tego, aby im było jak najwygodniej, dodała służącego, aby czekał na ich rozkazy, i dowiedziawszy się, że hrabina miała ból głowy, ból prawego boku. kolkę w piersiach, palenie dłoni, rwanie w stawach... nie licząc tego o czem nie mówiła—odeszła...

Dzwoniono na mszę. Kaplica tego ranka wyglądała wspaniale... Ołtarz otaczali goście dostojni. Kanonik celebrował. Na przedzie *face à face* z wielkim ołtarzem, wsparty na lasce stał w całym majestacie swym radca. Z rana jednak gwiazdy nie włożył, pęczek różnych wstążeczek w dziurce od guzika skromnie ją zastępował... Stał, jak dlań przystało, najbliższej Pana Boga... bo nikt nadeń nie miał tu większego

prawa zbliżać się ku ołtarzowi. Radca był przekonany, że w ciągu życia Panu Bogu oddał znakomite usługi — bez których... a ba! kto wie jakby boże interesa na ziemi się obróciły. Modlił się po cichu i skromnie.

Szambelanowa modliła się z książki, a że okularów jako godła starości nie lubiła, przez lornetkę. Hrabiewstwo Hernaszowie nie mogli przybyć na nabożeństwo.

Na śniadanie urzędowe, które wkrótce potem podano, zebrali się już wszyscy... Hrabina trochę pobielona w pomiętej sukni, hrabia w surducie trochę ciasnym... Mówiono wiele i głośno...

Nie mogło dla Ady, nawykłej do cichego życia, rozmyślań, marzeń, studyów nic w świecie być przykrejszem może nad ten tłum różnorodny, co ją otaczał. Musiała się jednak uśmiechać mu twarzą wdzięcznej gospodyni... Rzucano na nią oczyma badające, upatrując trwogi lub pomieszania — tego jednak nikt nie dopatrzył. Dziwiło to i niepokoiło zgromadzonych, którzy w zbiorową siłę areopagu ufali...

Radca szczególnież zamyślony był... Jeszcze znaczniejsza część gości u stołu siedziała. gdy on skinąwszy na prałata, cicho się z nim wyniósł na werandę. Tu obejrzawszy się i nie widząc nikogo, szepnął mu do ucha:

— Cher Comte! jakiż jest plan działania? Kiedy i jak mamy wystąpić... Uroczyscie? Zbiorowo? Pojedynczo?... Ja, nie mam zbyt wiele czasu.

— Panie generale, odparł kanonik, wiedząc, że tytuł ten brzmiał milej jeszcze w uszach radcy, niż zwykły — najprzód należy dać — nieprzyjacielowi — puis-que, malhenreusement, c'en est un, — ubezpieczyć się. Dziś — ani słowa. Obserwujcie... Sławmy głośno swobodę i szczęście paui domu, która nie nakładając na się jarzma małżeńskiego, umiała tak mile sobie urządzić życie... et caetera!!

Zobaczmy... Hasłem jest: jej szczęście obecne.

— A! a! dajcie hrabio to hasło wszystkim. proszę... ja będę się do niego stosował... Państwu Hernaszom trzeba to też powiedzieć.

Sklonił się kanonik. Radca stał czekając czy się czego więcej nie dowie — potem jakby sobie przypomniał coś, przystąpił do księdza..

— Szlachciec to jest? spytał.

— Kto?

— A... ów wybrany mojej pupilli..

— C'est douteux! odparł ksiądz — Jazyga! nieznane nazwisko... Szlachetka może, choć równie może być... nie wiem kim. W wojsku się dorabiano stopni od gemejua... Co do mnie, nie znam szlachty polskiej ani litewskiej tego nazwiska...

— W to bić! podchwycił radca. To punkt kapitałny! voilà!

— Żadnego wychowania... dodał kanonik — surowy, nieotarty, gburowaty...

Mówili jeszcze, gdy nadszedł Hernasz odkomenderowany przez żonę.

— A — cóż? cóż? rzekł wciskając się — co? jak to będzie?...

Kanonik go wziął na bok i dobitnie mu znów program postępowania wyłożył. Hernasz nawykły do ścisłego posłuszeństwa, przejmował się nim pilnie słuchając, niekiedy tylko dorzucając: — A! rozumiem! a!...

Hasło musiało być z pomocą panny Hortensyi rzucone we wszystkie uszy, gdyby nikt przeciw niemu nie wkroczył. Od śniadania zaraz rozpoczęły się głosy wniebiania i zazdrości.

— Kochaneczko! mówiła szambelanowa, słowo ci daję — tyś rozzumniejsza od nas wszystkich bab... t, je dna pojęłaś jak się urządzić niezależnie, swobodnie — wedle swych upodobań. Jesteś najszczęśliwsza mię-

dzy niewiastami! Słowo ci daję! Ptasięgo mleka chyba u ciebie brak... I — pani w domu! i nudnego męża. którego pilnować trzeba... nie ma...

Hrabina Hernaszowa nie wahała się kilku dobitnymi słowy potwierdzić zdania szambelanowej. Ada miała wielką ochotę na przekorę im się sprzeciwić—lecz wstrzymała się... Uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej ustach, westchnęła tęskno...

Radca, który właśnie z werandy powracał. z ławtowską sobie właściwą temat podany do rozwodnienia pochwycił.

— Tak jest, szanowna pupilla moja—rzekł—feno menalną może się nazwać istotą! Lecz jakże mało na świecie kobiet. któreby ją naśladować potrafiły! Nie uledez chwilowej słabostce. zawsze być panią siebie, miłować tylko sztukę i naukę, stać wyżej po nad zmysłowe fantazyje... i wszystko poświęcić dla swobody, dla niezależności!

Karol, który słuchał uśmiechając się — zwrócił się do Ady.

— Mamże słaby mój głos przyłączyć do tego uwielbień chóru? —rzekł na pół szydersko.. Lękam się! Nie umiałbym mu wtórować — bo ja — sceptyk, zepsuty. Nie wierzę, aby w tej swobodzie — bez towarzysza w osamotnieniu — bez drugiego serca... wielkie szczęście mi zżało. Co najwięcej, to szczęście bierne tylko... Pół światła—pół cienia, jak mówił poeta... i — pół zbawienia.

Oczyrna czarnemi, wdziecznemi spojrzała nań Ada

Masz może słusznosc — to co we mnie zowią meztwem. mogłoby być tchórzowstwem i słabością. — Któż wie?

Wszyscy nmiłkli i oczy krzywe zwróciły się ku Karolowi. który jak nożem uciął naciągnięte pasma do rozmowy. Radca nie mógł się wdawać w polemikę

Kanonik nie raczył, szambelanowa nie chciała, Hernasz nie umiał. Ostatni spojrział na sine lica żony, oczekiwał znaku,—dano mu sygnał, aby się wstrzymał, założył ręce w tył i pozostał w niewielkiej odległości od swojego dowódcy.

Dopiero po upływie kwadransa i nowem preludym radcy, niekoniecznie zręcznem—wzięto się znowu do wsławienia rezydentcyi. żywota i spraw panny Ady...

— Gdybyś kuzynka miała nie wiem jakiego męża—no—ideał—a tych ideałów na świecie nie ma—słowo daję — z żadnymbyś tak nie była szczęśliwą, swobodną — królową, jak oto dziś, rzekła pani Hernaszowa. Tak samo i z dziećmi! choćby najlepsze były... A nie ma jak być panią w domu... i nikomu sprawy nie здаwać... i na nikogo się nie oglądać! Słowo daję!

Hernasz patrzył na żonę spokojnie. bynajmniej tego nie biorąc do siebie. Wykałał zęby ze stoicyzmem męża, który już nic do stracenia nie ma...

Wspomnieliśmy o tem, iż Ada w swym domu wiodła życie, które się nigdy dla gości nie stroiło i nie zmieniało. Tym razem jednak pewny wyjątek nakazywało jakieś uczucie dumy — jakaś chęć pokazania swojego dostatku. Chciała może nieco upokorzyć tych, co ją przyjechali bardzo udręczać, pod pozorem ratunku...

Obiad w tym dniu uroczystym był wykwintniejszy niż zwykle. a radca będący smakoszem, nie mógł się go odchwalić.

— Pani jesteś doskonałością we wszystkim — mówił — nawet kuchnia i piwnica, niezrównane...

Oboje państwo Hernaszowie oczyma zazdrosnem i pożerali wspaniałe srebra, starą porcelanę, złote sztućce do desseru, wszystek ten przyrząd pański, który Ada ocaliła lub dopełniła sama, mając pewne upodobanie w pięknych przyborach do życia. Czego nikt pewnie ocenić nie umiał. te drobne rzeczy miały wszystkie artystyczną wartość i były istotnie piękne...

Ada nigdy nie kupowała nic takiego. coby się wszędzie spotykało. było pospolite i spowszedniałe — dobijała się wzorów nowych i miała je wskazywać

Szambelanowa łakoma. jadła z zapamiętałością, wdzięczna będąc tej pocziwej Adzie za przysmaki. Miała ten chciwy apetyt starych ludzi, nienasycony, który zwiastuje naturę osłabłą — ratującą się od zagłady... tem co zabija nawet .. Podawano jej po dwa razy z półmisków, a troskliwa Dyakowska próżno ją reflektowała. Odpowiadała jej gniewna prawie: A! dajże mi pokój. to mi smakuje!

Radca lubował się też. ale z ostrożnością człowieka. który wie, jak niestrawność niebezpieczną być może; pani Hernaszowa kaprysiła z jadłem, a mąż jej nie wiedział co połykał. Karol pił i wesół był, a dowcipny tak, że wszystkich do śmiechu pobudzał. Panna Hortensya siedziała rzucając oczyma. niespokojna. Nic nie szło po jej myśli, zdaniem jej zbyt zwlekano, zbyt łagodnie brali się wszyscy do dzieła.

Kanonik grał rolę bierną — mówił o rzeczach obojętnych — był miłym. i chciał pokazać, że się do niego nie mieszczą... Mówił nawet o potrzebie wyjazdu..

Obiad ten, jak się można było spodziewać, wprowadził towarzystwo w usposobienie pojednawcze, łagodne... Nikomu się nie chciało zatrzymywać sobie chwili miłej wystąpieniem jakimś niewczesnem... Radca nieco zarumieniony, błogością okryty miał oblicze wstając... Karol był w nadto różowym humorze.

Szambelanowa czuła skłonność do drzemki, którą czar-na kawa. oczekiwana. rozproszyć miała. Spodziewała się potem małego wiszeczka. jeden tur przed herbata—któryby ją orzeźwił. Zamówiła też sobie wodę so-dową...

Wśród tego towarzystwa. gospodyni męczeństwo swoje znosiła z heroizmem prawdziwym; odkryć nie było można na jej licu, że cierpiała. Gniewało to Hortensyę... która śledziła wrażeń i złapać nie mogła.

Dla Ady zbliżał się moment, w którym całych swych sił miała wozwać. aby podołać położeniu. w ja-kim się znajdowała. Sama ona nakazała Robertowi, ażeby przybył do Ruszkowa; wiedziała. czuła. że dnia tego przyjedzie niechybnie. Co chwila można się go było spodziewać.

Panna Hortensya nie tylko tego zuchwalstwa nie przewidywała, lecz przypuszczała, iż sekretnie zawiadomiony będzie, ażeby się nie pokazywał.. Zdania tego był i ksiądz kanonik... Nikt zresztą z gości nie wpadł na tę myśl, że ów—ów pan.. o którego chodziło, może nadjechać..

W miarę. jak godzina przyjazdu się zbliżała, go-spodyni stawiała się coraz niespokojniejsza, ale szafo-wała tę gorączkę w przyjęciu gości, tak, że natręty jej nikt rozeznać nie mógł, a ukradkowe wejrzenia na drzwi rzucane, nie były dla nikogo zrozumiałe. Serce jej biło...

„Mężtwo!“ — mówiła sobie... Gdyby nie duma. zapłakałaby może...

Gorsze jeszcze było położenie nieszczęśliwego Roberta. Posłusznym jej być musiał. wiedząc. co go tam czekało. co miał do zniesienia. Nie zbywało mu na odwadze — lecz może na umiętnem władaniu nią i sobą. Lękał się być śmiesznym, nie miał wprawy — nie znał tego towarzystwa w które wejść musiał, aby je brawować.

Miłość tylko młodzieńcza, gorąca, mogła osłodzić utrapioną chwilę, jaka dlań była zgotowana w Ruszkowie ..

Właśnie szambelanowej udało się jakoś złożyć pożądaną tur wiszcza... W salce bawialnej postawiono stół — przy którym zajęła miejsce wystrojona staruszka, radca rumiany, pułkownik grzeczny... Na czwartego przewidziany był Hernasz — lecz składał się roztargnieniem, kazano więc siąść Karolowi... Na kanapie w tym samym salonie hrabinę chorą bawiła Ada, do czego jej pomagała Dyakowska. Hortensya z kanonikiem prowadziła rozmowę na werandzie. Panna Karolina dała się pochwycić Oblęckiemu na coś — naksztalt rozmowy, w której ona pół-słówkami tylko udział brała nieśmiały.

Muzyk i sekretarz wnet po obiedzie się absentowali...

Cisza panowała w salonie, a że od południa chmury gęste przechodziły po niebie i na burzę się zbierało... w pokojach też nie było bardzo jasno. Stół wista dla tego ustawiono bliżej okna...

Ada pierwsza posłyszała i poznała kroki Roberta w przedpokoju, ale nie przerywała rozmowy z hrabiną Hernaszową.

Drzwi się otwały od niechcenia, powoli, i Robert, ubrany jak na codzień, wcale nie wykwiutnie, wszedł skierowując się ku kanapie i gospodyni.

Oczy wszystkich z wyrazem przerażenia skierowały się na niego i na nią. Ada zwróciła się teraz dopiero z nśmiechem ku niemu, podała mu rękę i zaprezentowała go hrabinie...

— Miły i dobry mój sąsiad, pan Robert Jazyga ..

Co się stało z fizyognomiami przytomnych, opisać trudno. Hrabina, której go zaprezentowano, zmieszana, pobladła, spuściła oczy, załedwie skinęła głową. Twarz jej rumiano-siną stała się jakby marmurową, wystąpiły na niej plamy białe.

Gdy się to działo, radca siedzący przy stoliku wista zdrewniał, — ręką. w której trzymał rozdane karty. konwulsyjnie mu drzeć zaczęła, usta się ścięły — postawa cała zeszytniała, jakby jeszcze w kancelaryi ministeryum. stawiał się przed nim obżałowany registrator kolegiálny... Szambelanową taka opanowała ciekawość, że zapomniawszy o gniewie, co przedzej porwała lornetkę i zaczęła się wpatrywać... Hrabia Hernasz asystujący grającym, zobaczywszy znaki niebezpieczne na twarzy żony, był w drodze ku niej, gdy jemu zaprezentowała Ada sąsiada. Nie zważając nań, biegł na ratunek hrabiny Enfemii.

Gdy siedzącym u kart, Ada głosem spokojnym, dźwięcznym zaprezentowała z kolei sąsiada—nie podniósł się nikt—osłupieli i siedzieli wszyscy, milczenie złowrogie panowało. tak, że wiatr w parku szumiący i grzmot oddalony słyhać było...

Na werandzie zerwała się z siedzenia Hortensya. z załamanemi rękami, i padła wnet na krzesło... Oczywiście szukała ktoby tu był na wysokości zadania stanowczej chwili. Kanonik siedział wsparty na łokciu i poglądał na chmury...

Tem przyjęciem więcej niż zimnem gością swoje go, wcale nie zmieszana Ada. podwoiła dlań grzeczności, nśmiechnęła się, poczęła rozmowę poufałą i cichą. z której wnet przeszła w głośniejszą, i zwracając się ku kanapie i hrabinie, miejsce Robertowi wskazała przy sobie...

Milczenie panowało ciągle; troskliwy tylko mąż hrabia Hernasz, na ncho coś szepcząc żonie, zapytywał coby mogło ulżyć jej cierpieniom?

Nikt się nie odzywał słowa. Wist został przerwany na chwilę. Szambelanowa ze swobodą, jaką daje starość. przypatrywała się przez lornetkę — temu jegomości.

— Ładny chłopiec — nie ma co mówić! — szeptała w duchu—gust ma dobry... bardzo przystojny...

Nieśmiało kierowały się też nań oczy panny Dyakowskiej, której usta uśmiech politowania nieco poruszał, choć się chciała utrzymać obojętną. Pierwszy pan Karol od stolika odezwał się do Roberta...

— Przepraszam pana — rzekł — jestem mu dłużny... Tak jest—dodał widząc podziwienie. — Przeszłym razem tu będąc. miałem stałe postanowienie go odwiedzić. Zmuszony byłem potem tak nagle wyjechać. że chyba to teraz uagrodzę.

Radca spojrział z wysokości na Karola, zżymnął się i uroczyście rzekł — przyprowadzając go do opamiętania:

— Pan zadaje — panie Karolu...

Ada zdała wzrokiem serdecznym podziękowała kuzynowi, który zamiast zadać, odezwał się do starszki:

— Pani szambelanowa oczy sobie psuje? nie trzeba się tak młodym jasnym twarzom przypatrywać.

Radca tak na to głową pokręcił. jakby rzec chciał, że się niepotrzebnie wdał w towarzystwo—nie właściwe.

Robert przeszedłszy przez pierwszy ogień, podtrzymywany rozmową, którą z nim prowadziła Ada — był już panem siebie. Przestały go boleć wejrzenia. jakie nań rzucano—uspokoił się. Położenie z tragicznego w przedpokoj. w salonie stawało się niemal komicznem.

Hrabina Hernaszowa nie znalazła sposobu innego wyjścia z przykrej konjunktury—niż ucieczka z pokoju —mąż ją przeprowadzał... Była to migrena z tykiem nerwowym. Ada się nie sprzeciwiała. nie wstrzymywała, poradziła tylko wyjść wprost przez werandę do parku, dopóki by nie nadeszła burza i ulewa. która się grozić zdawała... Hrabina zas nadzwyczajnie obawiając się grzmotów i piorunów. gdy spostrzegła. że nadciągając mogą, zawahała się z wyjściem. . bo — pe-

wnie na dworcu nie było konduktora. Wybierając jednak z dwojga złego — Jazygi lub piornów... oparła na rękę najczulszego z mężów, wyszła.

Była to już wyraźna manifestacya — lecz Ada przedsięwziawszy sobie z góry nie tłumaczyć objawów podobnych, i nie zważać na nie — nie okazała, ażeby ją to obeszło. Żywiej tylko rozmawiała, śmiejąc się z Robertem.

Śmiały postępek hrabiny napelił radością serce panny Hortensyi.

— Otóż to mi kobieta! — szepnęła kanonikowi. — Karol jest niegodziwy zdrajca..

— Pan Karol — rzekł kanonik — jest po prostu przekora..

— O! ja mu powiem słowa prawdy! — zasmuczała stara panna — należą mi się one!!

Wist szedł bardzo źle — w zadnym robrze tyle nie było omyłek, pozabijanych renonsów, potraconych lew, baków niedarowanych. Radca grał niegodziwie. Karol okropnie, pułkownik miał dystrakeye, miała je i szambelanowa — ale ona najwięcej lajała i hałasowała — choć i sama była winna.

Radca okrył się dymnem milczeniem, wsparł na rękę, nieco tyłem zwracając do Roberta, i dumął. W istocie było nad czem...

Ada przyjmowała tego młodzieńca, przeciw któremu krucyatę ogłoszono, z niewypowiedzianą, nie kryjącą się sympatją i uprzejmością. Nie można było wątpić, iż przylycie jego miało znaczenie odpowiedzi familii na jej gromadne wystąpienie.

Było to wypowiedzenie wojny, otwarte, niepojęte wyzwanie.

Radca przemyslał: co teraz czynić mu należało. Wist mu nie był w głowie. Człł na swych barkach całe brzemie sytnacyi, szukał srodków, aby z niej wyjść bez sromu. Panna była pełnoletnią... mogła wysmienicie rozporządzać sobą: mogła im odpowiedzieć: — Co

wam do tego! Dziękuję za troskliwość i dowody przywiązania — ale postąpię jak mi wskaże serce.

Miał za złe, że go tu wezwano — za późno!!

Szambelanowa w obec tej śmiałości Ady, straciła odwagę — trochę jej nawet żal było. Chłopak ładny, jużci ona wie co robi i lepiej od nas go znać musi — mówiła cicho.

Na kanoniku to wystąpienie nie uczyniło wielkiego wrażenia na pozór — czoło miał trochę zmarszczone. Panna Hortensya konwulsyjnie się rzucała... świerzbiały ją wargi, a mówić nie mogła... oczyma tylko okazywała oburzenie i wciekłość.

Przez cały ten czas aż do ukończenia wista. Ada umyślnie trzymała przy sobie Roberta. szeptała z nim po cichu, śmiała się głośno, okazywała mu względy szczególnie...

Tur się skończył, zmierzchno. i choć chmury się rozeszły, a burza bokiem na lasy się posunęła — bez świec grać było trudno — nikt też nie miał ochoty. Radca nie czekając rozrachunku, wyniósł się na naraadę do kanonika. Szambelanowa poszła na kanapę. Ada zbliżyła się ku niej. a pan Karol wprost udał się do Roberta.

— Chodź pan ze mną na cygaro do ogrodu — rzekł — wist mnie ten zmęczył... parno jak w łaźni. Nim dadzą herbatę, przejdziemy się.

Bardzo chętnie...

Robertowi też pilno było wyjść z tej dusznej atmosfery salonu... Karol przechodząc z nim przez werandę, popatrzył szydersko na zbitych w knpkę kanonika, radcę i Hortensyę. i posunął się ku wschodkom...

— Trafieś pan szczęśliwie na zjazd familijny — odezwał się. — Bardzo przyjemne towarzystwo — ale wolał byłbyś Adę zastać samą? przyznaj się?

Robert zarumieniony przeczyć nie śmiał.

— Hrabstwo Hernaskowie — są to ci państwo co z placu boju dezertowali — panował Karol. — Pani

zawsze chora, dla tego jej wiele. nawet tego męża nudnego, którego sobie wzięła, przebaczyć potrzeba. Ten wspaniały egzemplarz człowieka *Homo curialis*, wedle Linneusza, który już stoi o dwadzieścia kilka wieków od jego *Homo troglodytes*. jest radca tajny i kawaler. Wysmienity człowiek do reprezentowania nicosci w mundurze... Pani szambelanowa. najczcigodniejsza matroua, której wiekuistego wista trzeba darować dla tego, że była niegdyś bardzo piękna i—ludzie mówią, że piękność tę łączyła z nader miłym charakterem... Ma ten defekt tylko, że wista gra całe życie... i pana do niego wciągnie...

Ta blada panua z lokami długimi. JMPanna Dyakowska, najlepsza z istot na ziemi, serce brylantowe—ale—nieładna! Zdaje mi się, że m pann zaprezentował wszystkich — dodał Karol — a wątpię, żeby moja kuzynka, dopełniając obowiązku gospodyni, z równą szczerością to jak ja... wykonała...

Robert słuchał pół uśmiechnięty — Karol mu w oczy patrzył... Gotówby był wywołać zwierzenie... i miał ochotę przyjść w pomoc prześladowanej parze—lecz Jazyga był milczący.

— Mam od pana przyrzeczenie, że mnie odwiedzić raczysz—rzekł—jestes pan myśliwy?

— Ja w potrzebie — odezwał się Karol — staję się wszystkim co potrzeba! Chcesz mi sprawić polowanie?? A! daj pokój! przyjadę pośmiać się i pogawędzić—to lepiej. Zrobiłem się leniwym...

— Ale mnie pan odwiedzisz? — powtórzył Robert.

— Niechybnie—jeżeli znówu burza jaka i kataklizm familijny nie wygna mnie ztąd nagle. Tego się nie spodziewam...

Zapalono cygara pod drzewami; po chwili przyłączył się do nich pułkownik. Nie był on w tak dobrym humorze jak zwykle. skłopotany nieco, zmęczony. wesa kręcił niespokojnie.

— Pułkowniku — zdążył zacząć go Karol — zaleliśmy ci za skórę. Przyznaj się.

— A to czem?...

— Jakże? najazd taki!

— Nader miły! — kłaniając się odezwał Brandys...

— Żartuj zdrów... I jeszcze ci w wista z szambelanową i radcą grać każą.

Pułkownik zwyciężony śmiał się.

— Facetus z pana!...

— Tem życie słodzę — odparł Karol. — Wiesz pułkowniku, póki byłem w dobrych interesach. chodziłem jak mruk... Gdy się zrujnowałem — dostałem humoru. jakiegom nigdy nie miał. Kompensata Opatrzności. Nic bezpieczniejszego niż być gołym. obawa wszelkiej straty znika — pozycya się wyjaśnia. spokój i apetyt powracają.

Brandys śmiał się. Robert pomagał trochę, lecz oczyma rzucał ku werandzie, przez którą cień Ady się przesunął. Zdawało mu się, że jej oczy go szukały... Była ożywiona i jakby tryumfująca...

Radca, kanonik i pauna Hortensya, gdy się zaczęło wyjaśniać. zeszliz także z ganku w ulicę boczną ogrodu.. Opiekun zwłaszcza potrzebował na nowo pomówić o planie postępowania...

— Księżę prałacie — odezwał się — widziałeś co się stało.. to zmienia nasze położenie. Tolerancya. ignorowanie staje się nadal niepodobieństwem...

— Tak jest! tak jest! — wybuchnęła Hortensya. Radca ma zupełną słuszność... Doszło zuchwalstwo, cynizm do ostatecznego kresu... Familja się zjechała, ona wie dobrze w jakim celu, i — prezentuje go familji...

To ma zuaczyć dobrą polszczyznę: Protestujecie przeciw niemu — a ja wam powiadam, że go wybrała... Jestem panią mojej woli.

— Tak i ja to rozumiem — ozwał się poważny mąż, prostując się i piersi nadstawiając. jakby ciosy niemi chciał odpierać — i ja... Cóż nam czynić pozostaje...?

Wyrazy te zwrócone były do zamysłonego kanonika—ale panna Hortensya nie dała się wyprzedzić i podchwyciła:

— Co pozostaje? jedno tylko. Wystąpiła ona śmiało... niech familja wystąpi uroczyscie, cała, razem, jako jedno wspólne ciało... Niech objawi jej stanowczo swe veto! Nie pozwalam! Tak! nie damy ci niedorzeczności dokonać, którąbyś później łzami oblewać musiała. Prosimy cie... żądamy, domagamy się — rozkazujemy.

— A! — zawołał radca. — A!

— Jakim prawem? — wtrącił kanonik

— Jakto? jakim prawem? — poczęła njadać panna Hortensya — familja zastępuje rodziców — a kto roznemu nie ma, tym kieruje... To jej obowiązek.. To prawo!

Radca był njęty elokwencją i zapalem kuzynki, twarz mu się wypogadzała

— Zbyt gorąco to pani bierzesz...

— Bo jej dobra pragnę! bo ją widzę uad przepaścią! Prosz panów, panna milionowa piękna, stara nie jest, imię starożytnie koligacye świetne... i ma iść za takiego przybłęde... za jakiegoś majorowicza.. za pana Jazyge! Zostać panią Jazygową czy Jazyżyną! A! toby było skończenie świata! Cóż on przynosi? Nie — goły, jedna wioszczyna, zadłużona pewnie! bez wychowania prostak... przystojny parobczak! nie więcej.

— Nie bierz pani tak gorąco! — powtórzył uroczyscie radca.

— Państwo to bierzecie na zimno — i to jest nie-szczęście! Należy brać upokorzenie rodziny, zmarowanie się kobiety — gorąco... Zapobiedz wszelkimi środkami.

W czasie tych peror konwulsyjnych, radca i kanonik spoglądali na siebie, jakby się pozbyć chcieli panny Hortensyi.

Nikt jej nie odpowiedział. Radca obrócił się do prałata:

— Cóż ksiądz hrabia na to?

— Panie generale — odparł kononik — w istocie położenie krytyczne. Familja zgromadzona tu musi wystąpić zbiorowo... jutro czy kiedy się to ułoży... uroczystie, bez świadków — otwarcie... Ale trzeba to uczynić spokojnie, poważnie, łagodnie. Prosić, demonstrować, reflektować.. więcej nie..

— I ja jestem tego zdania — rzekł radca — zupełnie! To była myśl moja...

Hortensya chciała coś wtrącić, radca się skłonił

— Przepraszam, daj mi pani skoneczyć. To była myśl moja. Lecz, księżę kanoniku, hrabio — dodał radca — bądź ty naszym tlómaczem, przemów w imieniu naszym.. my cię wybieramy.. Jako duchowny jako dyrektor sumienia masz prawo... a nie powiesz ani za nadto, ani za mało, gdy każdy z nas.. może.. umieść się.. lub uleść... albo...

Hortensya ramionami rnszyła

— Nie — panie generale — odparł ksiądz, dziękuję za zaufanie — ale się tego podjąć nie mogę.

— Dla czego?

— Dla tego, że raz już wystąpiłem z uwagami, które nie były przyjęte... Jako duchowny dotrwam na stanowisku do końca, niezrażony — ale muszę stać osobno... W imieniu rodziny, komuż właściwiej mówić, niż powadze waszej... wam, panie generale.

Hortensya zrażona milczała długo — chociaż nie pobamowaną miała chęć wtrącenia się.

— Proszę mi pozwolić — słówko...

— Proszę... — odparł radca.

— Niechże to wystąpienie przybierze istotnie uroczyste formy — rzekła. — To podziela na nią. Tak — wszyscy razem, ile nas jest, przyjdziemy do niej, z prośbą i refleksją... Jabyśmy była za tem, ażebyśmy się ubrały czarno...

Kanonik się rzucił.

— Po cóż te komedye?

— Ażeby wywołać wrażenie...
Zmilkzał radca.

— Kiedyż to ma się odbyć? — pytała Hortensya.

— Nie wiem—o to się trzeba naradzić—przemówił opiekun, — nie wiem... wybór chwili. nie jest rzeczą obojętną. Stali tak rozmawiając i radząc, gdy się niepostrzeżony zbliżył Karol i słuchał. Porzucił on był Roberta, oddawszy go pułkownikowi, nie mogąc się oprzeć chęci podpatrzenia, nad czem się tak gorąco naradzano. Domyslał się, że tu idzie zapewne o wystąpienie zbiorowe...

Z ostatnich wyrazów, które doszły uszu jego, przekonał się, iż go nie myliły domysły, i przystąpił z przybraną powagą. Zobaczywszy go, panna Hortensya. nie mogła się wstrzymać od wybuchu,

— Ja pana nie rozumiem! — zawołała zwracając się ku niemu... Cóż za czułość jakaś dla pana Roberta? Zkąd nad nim ta troskliwa opieka? Naówczas kiedy cała familja chce mu okazać pogardę i wstręt. jako człowiekowi co spekuluje na majątek — pan...

— Właśnie. usłużyłem familii—rzekł na pół żartobliwie Karol—odciągnąłem go. dając jej czas naradzić się jak ma począć sobie... Widziałem zdumienie i niepewność. jakie państwa ogarnęły.

Panna nie miała mu czasu odpowiedzieć, gdy Karol ciągnął dalej:

— Wie pani — idea zbiorowego wystąpienia jest genialną!! Ksiądz kanonik na czele in pontificalibus..

Ksiądz rzucił nań piorunujące wejrzenie. Radca się zmarszczył.

— Myśl jest dobra, i ja przy niej obstaję — dodał radca chłodno—pan się do niej przyłączysz czy nie. to zależeć będzie od jego woli. ale my — postąpimy jak nam dyktuje sumienie.

— Ja się bynajmniej nie myślę sprzeciwiać — rzekł Karol zawsze z udaniem poszanowaniem a żartobli-

wie — znam respekt dla starszych... Co do mnie, przybyłem tu z szambelanową, dla zastąpienia dziadka w wiście, reszta mnie się nie tycze...

— Ale mógłbyś się pan powstrzymać od okazywania szczególnego affektu temu jegomości — dodała Hortensya.

— Przyznaję się, że radbym mu los jego osłodzić...

— odparł Karol. — Gdyby nie uprzejmość Ady — położenie jego byłoby nieznosne.

Ani radca, ani kanonik nie mogli dłużej się naradzać przy tym szydercy, który ich podsłuchiwał, i mógł dla splątania figla, zdradzić. Karol postrzegłszy to, zapalił drgie cygaro i zwolna się oddalił.

— Ja idę do dworku do Hernaszów — odezwał się radca — ażeby ich zawiadomić. Ksiądz kanonik pomów z szambelanową. Zdaje mi się, że najwłaściwiej byłoby jutro po śniadaniu, gdy się obcy oddalą — wystąpić jakeśmy uradzili.

— Niech ksiądz kanonik idzie ze mną — dodała żywo Hortensya — ja ułatwię mu rozmowę z szambelanową. Chodźmy...

Radca lekko się skłoniwszy z tą uroczystą miną wyższego urzędnika, która go nigdy nie opuszczała, wyprostowany, sztywny — zwolna się skierował ku dworkowi.

W przedpokoju drzemał służący na straży, z salonu dochodziły przerywane, jęklive głosy, w których można było poznać, żalobliwe skargi hrabiny... nad dolegliwościami, które jej nie dawały pokoju.

Radca uważał za uwłaczające godności swej, by się meldować; zakaszał i wszedł. Hrabina Hernaszowa leżała na kanapie, i nierzawszy go, zwolna się podniosła. Mąż jej stał przed nią w pewnej odległości, służąc za receptaculum skarg i ubolewań. To był jego obowiązek. Gdy radca się ukazał, spojrzął najprzód na żonę, aby wiedzieć jak go przyjąć. potem dopiero się posunął ku niemu, z wyszukanym gestem ręki ukazując mu krzesło przy kanapie.

— Nieskonczenie przepraszam za natrętność moją — począł radca — ale przychodzę w ważnej okoliczności, nie cierpiącej zwłoki.

Westchnął mocno.

— Widzieliście państwo do czego to doszło. Nie szczęśliwa moja pupilka, wiedząc i domyślając się po co my tu jesteśmy, umyślnie nam, brawując, prezentu je tego jegomości...

— Ja — przerwała ręką czoło ciskając pani Hernaszowa — ledwie mogła stłumić wyraz oburzenia. Wiadzieliście państwo... uczyniłam demonstrację — niech się gniewa, nie gniewa — okazałam, że nam się takich paniczów nie prezentuje.

— Wszyscyśmy admirowali takt i znalezienie się hrabiny — odparł radca — to pierwszy krok! Logicznie trzeba postępować, idziemy dalej za przykładem szanownej pani...

Uradziliśmy jutro...

Tu zaintrygowany mocno Hernasz po cichu się na palcach przybliżać zaczął nasłuchując, hrabina uroczyście patrzyła na podłogę.

— Uradziliśmy jutro wystąpić wszyscy.. Po śniadaniu, gdy obcy odejdą — uczynimy otwarte przedstawienie Adzie, jak się kompromituje, a w ostatku w imieniu rodziny zaprotestujemy przeciw projektowanemu małżeństwu.

— Czyż już wiadomo, że jest pewny projekt małżeństwa? — spytała hrabina.

— Wynika to samo z siebie, gdy nam go prezentuje... Gdyby to była jakaś fantazja... schowanoby go raczej.

— Jest racja! słowo honoru! — przerwał hrabia, zazywając prędko tabakę, której żona nie lubiła. Korystał zawsze z gości, z silnego jej zajęcia innym przedmiotem, by sięgnąć do zakazanej mu tabakierki.

Epizod ten przerwał na chwilę naradę, bo hrabina właśnie oczy podniosła i chwyciła męża prawie na

gorącym uczynku... z tabakierką w ręku... Pogroziła mu. Hrabia się oburzył.

— Nie zażywałem nawet! Tylko tak! tylko tak!" Wziąłem przez dystrakcyę w rękę.

— Proszę!! bardzo proszę — odezwała się hrabina.

— Kiedy mówię, zem nie zażył! — odezwał się mąż...

— Przepraszam, ciągnęła hrabina zwracając się do radcy—mój mąż nie słucha... Cóż tedy?

— Jutro więc po śniadaniu wystąpimy nroczyćście.. Łagodnie ma się rozumieć — ale stanowczo... Nie wiem kto zabierze głos... państwo poprzecie.

— A! a! pan radca! głos! pan radca! — pośpieszył Hernasz—to się rozumie.

— Tak—dodała hrabina...

— Z obowiązku opiekuna będę umiał zapewne przemówić... potwierdził wydymając pierś pan radca..

— Poprzemy.. odezwała się hrabina.

— A! poprzemy! powtórzył za nią hrabia... Na tem się skończyło.

— Uważał pan radca jak ordynaryjnie wygląda! westchnęła hrabina.

— Extra-ordynaryjnie—rzekł hrabia.

— Minę ma leśniczego lub prowentowego pisarza — odezwał się radca. Że mógł się podobać garderobianiu panny Ady, to pojmuję; ale po niej wytworniejszego się spodziewałem gustu.. Pamiętamy, że się o nią starał książę Włodzimierz... hrabia Teodozy.. odmówiła im.. nawet księcin Heliodorowi...

— Niepojęta rzecz!

Unisono, chórem. wyrwało się westchnienie z piersi wszystkich.

W tym samym czasie panna Hortensya torowała drogę kanonikowi do rozmowy z szambelanową. Szczęśliwie się to udało, i wsparta na ręku panny wyszła staruszka na ganek, gdzie na nią prałat oczekiwał. Prawdą a Bogiem w sercu jej budziło się p

litowanie dla Ady, sympatya dla Roberta. Szambelanowa zawsze dla czułych serc bywała pobłażająca..

Prątał się zbliżył do niej, i razem odeszli nieco dalej w koniec werandy.

— Macie hrabio coś do rozkazania mi. jak mówi Hortensya?—spytała staruszka.

— Radca mi polecił. bo ja nie mogę i nie życzę sobie mieszać się do spraw familijnych. Powszechnie zdumienie i oburzenie wywołało przybycie, przyjęcie, zaprezentowanie się tego pana — pani dobrodziejka wie...

— Tak, tak, chłopak bardzo przystojny — szepnęła staruszka...

— Familia postanowiła wystąpić cała, aby uczynić refleksye... Radca poszedł z tem do Hernaszów — ja jestem wysłany do pani szambelanowej...

— A kiedyż to? — kiedy? niespokojnie dopytywała stara.

— Zapewne jutro—rzekł prątał; panna Hortensya o tem panią zawiadomi. Pani naturalnie nie odmówi... poparcia.

Ze spuszczonemi oczyma słuchała staruszka...

— Naturalnie—mnszę... rzekła cicho... a czy to pomoże?

— Prawdopodobnie—odparł kanonik. Głos rodziny ma swe znaczenie... Może to być chwilowe... upodobanie, zapomnienie się...

— Tak! tak... mówiła cicho staruszka... Ja pójdę gdzie mi każecie. . prosić ją będę... Szkodaby jej było... takie piękne imię, majątek... mogłaby się wydać bardzo świetnie!... kiedy zmieniła postanowienie i za mąż iść myśli...

— Lecz po cóż ma tak piękne, święte zmieniać postanowienie!—mówił kanonik. Był czas, gdy zagrzała prawdziwą gorliwością religijną. miała zamiar cały majątek. lub część jego znaczniejszą, obrócić na wiekopomną fundacyę... To był cel godny takiej jak

ona osoby... Chciała się mu poświęcić! Niech państwo przypomną jej — jakiej pociechy dusznej doznawała, gdy była myślą tą ożywiona...

Szambelanowa, której огоłozenie familii nie zdawało się pożądanym celem, nic na to nie odpowiedziała. Ks. hrabia de Bello, dalej ciągnął z zapalem:

— Jest-to tak piękna, czysta, zdolna do pojęcia i uczucia najszlachetniejszych idei dusza—iż nie wątpię, że łatwoby znowu weszła na dawną drogę, gdyby do niej silnie przemówić umiano...

— Ale któż lepiej nad księdza kanonika to potrafi?

Ks. de Bello ręce szeroko rozpostarł.

— Jam swoje spełnił, kolej na państwa! Głos krwi, pani dobrodziejko...

Zbyt chłodnem znajdowała panna Hortensya znalezienie się szambelanowej.

Pani też przemówi—dodała—ona panią szanuje i kocha... trzeba koniecznie.

— Dobrze, dobrze, ale niech radca lub Hernaszowa zaczynają—ja nie mogę! Ale poprę—poprę...

— I niech pani będzie łaskawa—śpiesznie szepnęła stara panna — zreflektować też pana Karola... Postępuje sobie jakby na przekorę, przyjaźni się z tym jegomością, żartów sobie pozwala—słowem, znajduje się najniewłaściwiej.

— A gdzież on jest?—zapytała staruszka, rada wyrwać się z objęć Hortensyi i księdza.

Karol właśnie przechodził przez werandę, powołano go przed sąd szambelanowej. Ta, że długo stać nie mogła, siadła na ławeczce, kazała mu usiąść przy sobie... a kanonik odszedł z nieodstępną towarzyszką.

— Co ty tam dokazujesz? poczęła się rozmowa.

— Ja? naprzykład?

— Skarżę się na ciebie, że wszystkim szyki mieszasz. Cóż za nagła przyjaźń dla tego jegomości?? he?

Karol wiedział jak z babunią mówić, pochylił się jej do ucha.

— Babciu nalukochańsza — co bo ty słuchasz tej beczulki octu... Hortensyi! Sama widziałaś — ładny chłopiec? no — i do rzeczy... Co nam do tego, żebyśmy my dla wspomnienia prapradziadków mieli pra-prawnuczce szczęście zatruwać??

Szambelanowa poczęła się uśmiechać.

— Przystojny chłopiec, rzekła cicho — nie ma słowa — ale kto go wie nawet czy szlachcic...

— Karmazyn! zawołał wesoło Karol. szkarłat najczystszy! Jazyga! wie babcia co to znaczy?.. Jazygowie był to naród bitny, tak bitny, że go w pień wycięto... a książęta ich par excellence zwali się Jazygami. Są to potomkowie książąt, udzielnich.

— Pleciesz.

— Słowo daję! rzekł Karol: chłopak zdrow. młody, ładny, do rzeczy. książęcego rodu... nie ze wszystkiem ubogi — czegoż my chcemy od niej i od niego?

— Ale oni to inaczej widzą.. rzekła stara...

— Niechże oni, babciu kochana, widzą jak chcą i robią co się im podoba — a babci nie przystało się w to mieszać. Zostajmy neutralnymi... Babcia — miała zawsze serce złote, dla młodych i czułych istot pełne miłosierdzia... sama podobno nie była bez litości dla tych co się w niej kochali...

Staruszka niby gniewna, chustką go uderzyła po twarzy.

— Będiesz ty mi plutł... paskudniku!

Śmiejąc się Karol ją pocałował w rękę.

— Babciu dodał schylając się do jej ucha: uczyniłaś dla rodziny ofiarę. żeś tu przyjechała... staniesz w szeregach zapasników, ale bić się! babciu, tobie... gdy przeciwna strona tylko sympatye obudzać powinna... bić się przeciw zakochanym! Czy się godzi?...

— No, już daj pokój — dosyć — dosyć — a nie wygaduj się z tem, że mnie nawracałeś... Oni na ciebie i tak niedobrze patrzą. Hortensya...

— Babciu... Hortensya — to wcielona pokrzywa... czyż masz isć za nią, ty — co masz serce anielskie? mnie... com zawsze swobodę w miłości wyznawał i raz kochałem się w kawiarni tak...

— No—nie pleć!

Szambelanowa śmiała się, była rozbrojona. Karol umiał ją zawsze ubawić, pochlebić i przekonać... Bądź co bądź, był pewien, że ostro przeciwko Adzie występować nie będzie.

Szło mu teraz tylko o to — pocziwcowi, ażeby gospodynię o uknuty spisku mógł uwiadomić. Od dawnszy szambelanową zbliżającej się pannie Dyakowskie, której szepnął słów kilka — a która nań spojrzała z politowaniem i współczuciem — poszedł na podłuchy.

Radca właśnie wracał z Hernaszami na herbatę, gdy ich na ścieżce spotkał Karol. Minę przybrał seryo.

— Mówiłem z panią szambelanową — odezwał się — kazała mi się zapytać, na kiedy oznaczone wystąpienie nasze?

Radca zapomniawszy, że Karol na zaufanie nie zasługiwał, schylił mu się do ucha i szepnął:

— Jutro — po śniadaniu!

O tem tylko potrzebował wiedzieć pan Karol — skłonił się, i idąc obok Hernasza, który osłabłej żonie rękę podawał, postępował z wolna i bardzo poważnie razem z nimi ku pałacowi.

Ze zgrozą njrzano naówczas, że Ada znowu rozmawiała z bannitą, że raz mu rękę podała tak iż wszyscy to widzieli, śmiała się — słowem postępowała z nim, jakby już było po przyrzeczeniu i po zaręczynach.

Radca ujrzawszy to, miał wstręt isć dalej, aby nie spotkać — tego jegomosci. Hernaszowie wstrzymali się też za jego przykładem, udając, że się kwiatkom na grządkach przyglądają — a żadne z nich nie znało z roślin więcej pono — nad kapustę, pietruszkę... sala-

tę i tytuł może. Dopóki Robert stał z Adą, nie ruszył się nikt naprzód, aby nie sankcjonować przytomnością swą — tej, jak mówiła Hortensya — impudencji.

Wreszcie pułkownik wziął Roberta. Ada sama wyszła naprzeciw hrabiowstwu, i — wszystko zostało do czasu — w zawieszeniu...

Karol czatował na kuzynkę.

— Prosiłbym o posłuchanie — rzekł do niej, w chwili gdy weszli do salonu, aby przejść na herbatę.

— Pilne? spytała Ada wesoło.

— Dosyć.

— Odstąpimy parę kroków. Rozmowy się toczą żywo i głośno... Mów pan...

— Bez przedmowy czy z introdukcją...?

— Nie wiem czy na nią czas mamy.

— Niewiele — rzekł Karol — motywowanie więc odkładam na potem... Oznajmuję tylko fakt. Jutro familia ma wystąpić zbiorowo, uroczystie, z radcą na czele... aby...

— Rozumiem — przerwała nieco zarumieniona gospodyni.

— Ja — będę towarzyszył wojsku sprzymierzonemu jak ciura, bić się nie będę... Bądź więc kuzynka zbrojna, gotowa do odparcia napaści!

Spojrzawszy na Karola, nieznacznie mu rękę podała Ada.

— Dziękuję, rzekła chłodno — bądź spokojny — moja zbroja czyste sumienie, woła niezłomna... Zobaczysz mnie jutro. Trwogi nie mam najmniejszej. Jeszcze raz dziękuję. A teraz — na herbatę.

Spojrzała w przelocie na Roberta. wzrokiem mu dodając odwagi — i poszła rozsądzać swych gości... Karolowi Jazyga dostał się za sąsiada — wesoło zaczęli rozmowę. Naprzeciw nich siedziała piękna Sensytywa, a kuzynek lubił się w nią wpatrywać. Dalej — nieco chmurny — miejsce zajmował Oblęcki.

— A cóż — Tatarowie? spytał Robert.

— Jużem ich pokonał—westchnął malarz... Karton spalony— a słowo panu daję, były tam niezgorsze rzeczy... Cóż z tego! Jabyim obrazu tego nie mógł tu wykonać. Wzorów mi brakło... imaginacya na zastąpienie ich nie starczy...

Ręką machnął: — Bogom podziemnym na ofiarę! rzekł z rezygnacją.

U stołu nastrój panował uroczysty — jedna Ada i Karol okazywali twarze weselsze... Mówiono tak, aby się obcy i niepowołani nie mogli wmieszać do rozmowy... Radca opowiadał o stolicach i dyplomatach. Szambelanowa ogadywała dawno umarłych — panna Hortensya egzaminowała kanonika z życiorysu Fenelona, pomówionego o zbytnią tolerancyę, przeciw czemu świadczył duchowny. powołując się na to, iż był z innymi za odwołaniem edyktu nantejskiego...

Karol rzucał słowami jak raketami. które pękały. strasząc ciągle ludzi...

Nadszedł dzień ten uroczysty. Po wczorajszych groźbach burzy. niebo się wypogodziło, wietrzyk powiewał chłodzący. przesłicznie zwiastował się poranek letni. Pogoda na niebiosach zawsze się odbija w duszy człowieka. raźniej się żyje — lżej oddycha... humor jak niebo się wyjaśnia. Pomimo tak szczęśliwych warunków atmosferycznych, całe towarzystwo w Ruszkowie zebrane. dziwnie tego dnia twarze miało zafrasowane. wejrzenia niespokojne. Ciężyc się zdawało na wszystkich jakby wspomnienie wczorajszej niedoszłej burzy.

Szambelanowa ubierając się, odezwała do swej Dyakosi:

— Dałabym... kilka czerwonych złotych, żeby już ten dzień mieć za sobą... Co to będzie! co to będzie!

Radca, choć człowiek wielkiego męstwa, co nie-raz z raportem stawał przed ministrami, co czoło stawiał burzy — czuł się podrażnionym i niemal żałował, że... przyszło do tej ostateczności. Państwo Hernaszowie nie domagali. Ona czuła, że będzie skwar, który jej zawsze sprawiał migrenę, on przez sympatyę bolał i ramionami ruszał... Siegał czasem do kieszeni po tabakierkę i nie mógł jej dobyć ani raz... To go wprawiało w zły humor.

Panna Hortensya nie spała prawie noc całą, wstała do dnia, nie mogła usiedzieć na miejscu, co chwila patrzyła na kameryzowany zegarek. i nie pojmowała, dla czego czas się włókł tak niezuosnie. Nie miała nawet z kim rozmową go zabić—bo wszyscy byli zajęci.

Pan Karol, często zaniedbujący się w ubraniu, na ten dzień wystąpił świetnie. Krawat włożył jasny, tużurek nowy... Śmiała mu się twarz na wspomnienie dramatu, do którego i on choć jako kompars miał należeć. Ciekawy był niesłychanie znalezienia się Ady... którą spotkał przechodzącą i tak, na pozór przyuważając, spokojną i obojętną, jakby nie wiedziała o burzy gromadzącej się nad jej głową...

Na wszystkich, nawet na najwytrawniejszym, nawykłym do panowania nad sobą kanoniku — zapowiedziana demonstracya familijna czyniła wrażenie. Każdy się pytał w duchu — jak się to skończy? co z tego będzie?

Pessimisci mówili sobie: A nuż oświadczy wbrew wszystkim, że bierze za męża nieszczęśliwego młodzieńca — i to co było niepewnością, stanie się nieodwołalnym faktem??

Panna Hortensya, która całego tego piwa naważyla, uspakajała się nczuciem obowiązku i tem, że

przecież głos krwi, perswazyje i prośby rodziny poskutkować, opamiętać muszą...

Zadzwoniono na mszę do kaplicy, i nawet hrabiostwo Hernaszowie dnia tego znaleźli się u ołtarza... Radca zajął zwykle swe stanowisko naprzeciw cymboryum. w tej postawie jaką wiecie...

Po mszy następowało wkrótce śniadanie, a po niem — jakby się tylko obcy oddalili, miała wystąpić familia cała...

— Jak najłagodniej — ale stanowczo — mówił radca... Zachować miarę potrafię.

Wczesnie był sobie ułożył występ do przemówienia swego i główne punta jego. A mimo to dosyć był niespokojny. Z panną Adą, wiedział to dobrze. w najprostszej rozmowie trzeba się było mieć na baczności—takie się trafiały w niej niespodzianki — cóż dopiero w tak ważnej sprawie!

Hernasz z rana mówił żonie:

— Panu Bogu dziękuję—że tu zesłał pana radcę — nużby na mnie był spadł ciężar... przemawiania... To-by dopiero było!!

Hrabina głową pokręciła tylko.

— Co mówisz duszko?

— Nic nie mówię. Ty nie do tego...

— Słowo daję nie do tego... o pewno!

Podano śniadanie, zeszli się wszyscy domownicy, zjawił się wesół marszałkujący pułkownik. Kucharz wystąpił co się zowie, a nikt nie mógł jeść, oprócz szambelanowej. która skosztowała pasztetu z kuropatw, i już się od niego, mimo uwag Dyakowskiej, oderwać nie mogła. Radca wypił parę kieliszków wina—czuł potrzebę—dodania sobie — tonu... Ada zapraszała, gospodarowała. humor jej nie dawał poznać, że była do katastrofy przygotowana.

Radca spoglądał niekiedy na nią i myślał:

— Gdyby wiedziała co ją czeka!!

Nie wiedzieć jak i dla czego. nadzwyczaj się przeciągnęło śniadanie, zdawało się jakby umyślnie

każdy się starał chwilę stanowczą oddalić. W ostatku ruszyła się gospodyni — nie było sposobu, podała rękę radcy. Karol poprowadził przodem szambelanową, wszyscy się potoczyli do bawialni... Jak zwykle weszli tu i domowi, pułkownik, muzyk, malarz, nawet sekretarz. Odraczało to nieco moment, którego się obawiali wszyscy... i radzi byli, że... mogli oddychać swobodniej. Szambelanowa w duchu prosiła Boga, aby zesłał czy jakiego gościa, czy przeszkodę...

Nie pomogło to... Wymknął się najpierwszy kanonik, który wymówił się od współudziału... wyszedł pułkownik... Musiatowski i muzyk wysunęli się niepostrzeżeni. Obłącki siedział najdłużej wpatrzony w pannę Karolinę, ale gdy z nią Karol rozpoczął rozmowę — z rozpacz—uciekł...

Radca, który się gorączkowo przechadzał po pokoju — pierwszy zobaczył, że już obcego nie było nikogo, że — pozostali sami... Oczyma począł ścigać wszystkich, aby nieznacznie ustawili się jakoś w sposób odpowiadający uroczystości tego kroku...

Na kanapie siedzieli hrabina i szambelanowa. Hortensya nie odstępowała ich... Chociaż licząca się do rodziny, Karolina, której coś szepnęła Dyakowska, jak mogła najprędzej opuściła salon, idąc się zamknąć w swoim pokoju...

Radca zmierzył raz i drugi oczyma wszystkich, i w chwili gdy Ada opowiadała coś o podróży swej do Włoch, z żywocią wielką — przystąpił do niej, ujmując ją za rękę...

Nie było chwili czasu do stracenia — nużby kto nadszedł!

— Kochana pupilka moja pozwoli — odezwał się kłaniając...

Ada z uśmiechem jakby nic nie rozumiejąc, dygnęła mu...

— Co kochany opiekun każe?

— Pozwolisz — odchrząknął radca — że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny...

Tu ręką, ruchem nader pięknym, zatoczył, ukazał rozpięchłych po salonie.

— A! a! coś tak strasznie uroczystego! rozśmiała się gospoia. Cóż tedy? co? jestem na rozkazy!

Ton, jakim to wymówiła, tak nieprzystający do tego, jaki chciał przybrać radca, zmieszał go i zamknął mu usta...

— Proszę cię, droga pupilko — jest rzecz seryo... racz mnie posłuchać! dodał trochę się jękając i płacząc.

— Aż tak bardzo seryo! o mój Boże! coś to być może? ciągle wesoło ciągnęła... Seryo?

Zmieszany orator znowu się zaciął...

Karol stojący w kącie, widząc jak mu pot kroplisty występuje na czoło, ledwie się mógł wstrzymać od śmiechu. Inni świadkowie podzielali zakłopotanie radcy, patrzali po sobie — nie wiedzieli w istocie teraz już nie jak się to skończy, ale jak się to zacznie. Radca zbił się widocznie z tonu, z drogi, trzymał rękę Ady, patrzył na jej uśmiech, czekał ażby się poważniejszą stała — i — sam nie wiedział co począc.

— Pozwolisz mi — rzekł wyczekawszy znowu, że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny...

Ada, która już raz słyszała to słowo w słowo, uśmiechnęła się mile...

— Mówcie proszę, rzekła — wiem, że od mojej kochanej i miłej rodziny nie niemiłego usłyszeć nie mogę...

Spojrzeli po sobie. Radca rękę jej puścił z lekka...

— Kochana Ado. rzekł siłą, aby wyjść z przykrego położenia — nawykliśmy w tobie widzieć wzór i ideał niewiasty...

— O! kochany radco — przerwała — prawdziwie, że na to nie zasłużyłam... abyście mnie upokarzali tak pochlebniemi słowy, których przyjąć nie mogę, chyba za dowód pobłażliwości waszej.

— Nawykliśmy—chciał ciągnąć radca—wielbić cię i czcić... prawdziwie... (tu się splątał i powtórzył) — czcić... prawdziwie...

Tu musiał uczynić pauzę... głosu mu nie stawało, w nstach zaschło... Ada się jeszcze uśmiechała wesoło...

Rodzina troskliwa — rzekł po długim przestanku mówca, już nie patrząc na Adę, aby nie mieć dystrakcyi. ale na ścianę — rodzina troskliwa — i kochająca... (powtórzył)—zatrwożona została wieścią—która... przyznajemy ci się, zgromadziła nas tu wkoło ciebie...

— Al! przerwała Ada—cóżby to takiego być mogło... Doprawdy? zaostrzacie ciekawość moją.

— Pozwól mi być otwartym, rzekł, pot z czoła ocierając, radca.

— I obowiązek i prawo do tego macie — zawołała Ada patrząc mu w oczy — bądź radca jak najszczerzszym. O cóż to idzie?...

— Wiedzieliśmy—począł na nowo opiekun—o stałem postanowieniu twem, iż za mąż wychodzić nie życzyłaś sobie. Poszanowaliśmy w tem wolę twoją. zamilowanie niezależności... uczucie godności...

— I spodziewam się, wtrąciła Ada, że mnie od tego stałego postanowienia nie zechcecie odwozić?...

Radca zamilkł — już nie wiedział co miał dalej i jak wyłuszczać... Odchrząknął. Ada stała w oczekiwaniu. mierząc go oczyma, — a patrzący na nich nie poznalby w radcy groźnego opiekuna, ale upokorzonego delikwenta. którego surowy sędzia trzymał wzrokiem na uwiezi...

— Doszły nas wieści—kochana Ado... smutne...

— Jakież? zapytała spokojnie.

— Że ty sama zmieniasz to postanowienie—i to na korzyść człowieka—chęć mówić osoby czyli — kogos, który ze wszech miar nie jest ciebie godzien...

Nastało miczenie, wśród którego zamiast odpowiadzi, rozległ się uśmiech Ady, taki swobodny, tak ja-

sny, niewymuszony, wesoły... że radca od niego struchlał... Hortensya blizką była omdlenia...

— Ale któż wam mógł spleść nedorzecznosc taką! radco kochany!—zawołała Ada—a wy, jakżeście mogli czemu podobnemu uwierzyć? Za kogoż mnie wydają? Za pułkownika Brandysa, za Obłęckiego, którego bardzo kocham, za Musiatowskiego, czy może za młodego Jazygę, który tu tak często bywa u mnie, czy za Rubaszka, nad którego grą czasem się rozplýwam!!

Mój radco—dodała, biorąc go za rękę — i wy dobrzy, kochani krewni moi. cóście mi dali dowód takiej troskliwości — uspokójdźcie się, proszę... nie idę jeszcze za męża... nie myślę wychodzić — ale, jak byłam swobodną panią moich czynności, chcę nią pozostać.

Zbliżyła się do zmieszanego radcy, całując go w ramię.

— Dzieciństwo! — rzekła — nie mówmy o tem...

Opiekun stał jeszcze jakby chciał ciągnąć dalej, lecz jakże jej mógł zadać kłamstwo. po tak wyraźnem zaprzeczeniu?...

Panna Hortensya, którą niedołężność radcy do ostatniej doprowadzała niecierpliwości. zdecydowana już na opuszczenie Ruskowa. nie mogła się od wystąpienia powstrzymać. Głos jednak osłodziła, zniżyła i poczęła cicho...

— Mais, chère cousine— chociaż to może być potwarz — wyznaj, że częstokroć mogłaś dać powód do niej.

— Ale bardzo być może— odparła Ada śmiejąc się ciągle — ja tak mało ważę potwarz, iż dla uniknienia jej, żadnej mej fantazyi nie poświęcę! Masz słusznosc, kochana Hortensyo! Chodziłam na spacerý, mogłam się z kimś spotkać... długo samotne wiodłem rozmowy... To prawda. Wszystkie garderobiane nasze, wyjąwszy moją pocziwą Kasię — wyciągają z tego najokropniejsze wnioski. bo czują biedaczki... że dla nich byłoby w tem niebezpieczeństwo... co dla nas... jest obojętnem.

— To przyjmowanie pana Roberta.. — szepnęła Hortensya.

— Myślisz, że to o niego chodzi? — rozśmiała się Ada.—Być może—ja go bardzo lubię—ale mogli mnie równie posadzić o Oblęckiego... bo i do niego do oficyny. sama jedna wieczorami...

Zaczęła się śmiać, klaszcząc w ręce.

Hortensya spuściła głowę. Radca zupełnie zwątpił, ażeby dalej mógł już przeciągnąć akt oskarżenia.

— Mój opiekunie kochany — podbiegając do niego i ręce mu kładąc na ramionach, zawołała Ada: — niepotrzebnie was strwożono i rodzinę... Nie ma nic. bądźcie spokojni. prócz fantazyi starej panny, która z tego co o niej mówią, nic a nic sobie nie robi...

Ale—kochany opiekunie... Zbliżam się do trzydziestki! Staszny wiek krytyczny... Jeżeli. po tylu innych, przyjdzie mi fantazyja wydać się za męża — przypuśćmy na przykład za wójta z Ruszkowa, albo za parobczaka ze Zgorzewa... lub za chłopaka z Morawiec—czyż myślicie, że familja cała, ty mój opiekunie kochany, wy moi najdrożsi — potrafcie mnie wstrzymać. gdy postanowię?

Wesoło pokręciła główką.

— O! nigdy w świecie!

— Przecież meżaliansem nie uczyniłabyś rodzinie wstydu — rzekł radca...— Wiesz coś winna przodkom swoim...

— Mój radco, a rozpatrywałeś się w naszej genealogji? Pewno nie! odezwała się Ada. Pradziadek żonaty był z panuą Natanowiczówną. wnuczką Natana, arendarza w Błotkowie. Stryj się ożenił z garderobianą swej pierwszej żony po jej śmierci, a była to pocziwa dziewczyna ze wsi wzięta. Czeka—dzia—dek stryjeczny wziął kamienicę w Brześciu po Bałbanowiczównie mieszcance, córce kupca...

Oniemieni wszyscy... radca był oburzony.

— Uspokój się, kochany opiekunie — dodała — ja też jestem arystokratka okrutna... piękną krew wyso-ko szacuję, piękną duszę i wychowanie... Widzicie więc, że niebezpieczeństwa nie ma... Gdybym za mąż wyjść miała, daję wam słowo, nie będziecie się wstydzili mojego małżonka... Tymczasem mowy o tem nie ma. Ulubieńcem moim kunszt — kochanką moją swoboda!

Podniosła rękę w górę i pobiegła rzucić się na szyję szambelanowej, która w uniesieniu ręce ku niej wyciągała... Zaczęła ją całować śmiejąc się... żartując i wypieczone tylko rumieńce świadczyły o wzruszeniu. Reszta towarzystwa zaniemiała, pomieszana, strwożona, kwaśna — nie wiedziała co robić z sobą. Ada nie dała nikomu, nawet Hortensyi, uczuć urazy, ani złego humoru.

— Skończmyż tę niemłą rozmowę — rzekła — i chodźmy na werandę, świeżego użyć powietrza.

Mówiąc to podała rękę radcy i spytała go:

— Nie prawdaz, że park mój niezmiernie z każdym rokiem zyskuje? Co to za drzewa! co za urocze kształty tych gałęzi! Proszę, patrzcie, jak się ten czarny młody buk na tle zielonych akacyj wydaje! Co za rysunek tej wierzby babilońskiej, ale jaka z nią bieda w zimie! Dęby piramidalne powoli mi bardzo rosną... a pragnęłam ich dla kontrastu z temi okrągło pozataczanemi krzewami... Na przyszły rok przetnę tu cokolwiek — i wzrok będzie się mógł wysliznąć daleko... przez siny otwór, który w te masy gęste wpusci powietrze!

Mówiąc z wielkim zapalem, ściągnęła za sobą radcę, aż ku parkowi, a reszta rodziny długo się nie mogła poruszyć z miejsca, przybita jej przytomnością umysłu, swobodą i odwagą.

— Babciu! — zawołał Karol w uniesieniu, podbiegając do szambelanowej, tyś ją potrzebowała uścisnąć, a mnie się chciało paść jej do nóg. taka była piękna i... wielka. My przy niej wydawaliśmy się robakami.

— O! o! — przerwała panna Hortensya — dla pana to cudowne — ale dla nas okropne—ohydne... Cynizm ubrany w różę...

To mówiąc, zerwała się z miejsca i uciekła. trzaskając drzwiami. Hernaszowie nie ruszali się, on sam nie śmiał się poddać żadnemu wrażeniu, nie spytawszy żony, a na jej kwaśnej twarzy nic nie widać oprócz podrażnienia...

Zwróciła się wreszcie do męża, popatrzała na niego — i najprzód groźnie zawołała:

— Zuowu zażywałeś tabakę?

— Ja? tabakę! ale gdzież? gdzie?

— Jutro rano wyjeżdżamy—dodała hrabina—podaj mi rękę. Od tych scen głowa mi pęka. Radca bez taktu.

— Najmniejszego taktu...

— Familja wychodzi... pięknie... Było uas po co sprowadzać... koszta...

— Ja mówiłem — szepnął hrabia...

Z tem wyszli... W salonie została szambelanova. Dyakowska i Karol rozmawiali jeszcze o tem co zaszło, gdy wszedł kanonik błądy, z twarzą, na której się malowała ciekawość niespokojna.

— Czy mi też państwo z łaski swej nie objasnią, co i jak tu zaszło?... Od panny Hortensyi, która dostała płaczu i śmiechu konwulsyjnego, nic się dowiedzieć nie mogę...

Karol się przybliżył.

— Panna Ada wyszła z tryumfem—rzekł.—Oswiadczyła nam, że za mąż iść nie myśli, a razem, że gdyby co podobnego przyszło jej kiedy do głowy, naówczas cała rodzina, ani nikt w świecie nie mógłby jej od spełnienia swej woli odciągnąć.

— Ah! c'est bien clair! — rzekł kanonik z pewnym przekąsem.

— Tymczasem zaś — za mąż iść nie myśli.

— Cela n'est pas bien clair! — ciszej odezwał się kanonik...

— Ale cudowna była, powiadam hrabiemu — odezwiała się szambelanowa — cudowna. gdy nam to mówiła! Z takim umysłem spokojnym, z taką werwą... taka była śliczna, zem ją uściskać musiała!

— A inny przed nią chciał ukłekać — dodał Karol.

Kanonik zwrócił się ku pannie Dyakowskiej sztydersko nieco:

— A pani?

— Ja wysoki dla jej charakteru powzięłam szacunek — odpowiedziała spytana cicho...

— Wszystko więc jaknajszczęśliwiej się składa na tym najlepszym ze światów — zakończył hrabia — a hrabiostwo Hernaszowie?

— Poszli spocząć...

— A nasza gospodyni?

— Oprowadza po swoim parku pana radcę...

— Ale możebym ja mogła być w czem pomocą pannie Hortensyi? — rzekła ruszając się i prosząc o pozwolenie szambelanowej Dyakowska... Zasłała... nie ma może nikogo przy sobie.

— Owszem — rzekł kanonik — panna Karolina jest przy niej... i służąca ..

Prałat siedział długo niemy. nie pytając już więcej.

Zbliżała się godzina obiadu — i salon powoli się napełniał. Przybył pułkownik naprzód, potem Oblęcki, za nimi reszta...

Przykrej sceny nie pozostało innego śladu, tylko na twarzach tych co jej byli uczestnikami. Wkrótce też Ada z radcą powróciła z parku, i opiekun uwolniony, po odejściu jej do salonu, mógł otrzeć pot z uznojonego czoła, zebrać myśli, zrobić obrachunek sumienia.

Był najpewniejszy, że całe jego wystąpienie najtrafniejsze było, że nie popełnił najmniejszej omyłki, rozwinął energię, dowiódł taktu i spełnił swą misję znakomicie. Cekał tylko. aby mu kto z rodziny uczynił zarzut, gotów się bronić i dowodzić. iż bezsku-

teczności zabiegów. oni nie on byli winni. Usiłował być rad z siebie i wmówić to sobie — chociaż w duszy czuł, że postąpił niezgrabnie i nieudolnie. .

Zbliżył się do niego kanonik z wyrazem twarzy politowania pełnym.

— Słyszeliście? — zapytał radca — wystąpiłem energicznie co się zowie — i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, z takim taktem, że nawet chmurki na jej czoło nie wywołałem. Wszystko bajki, jako żywo, plotki, przywidzenia Hortensyi, kobieta ani myśli o niczem! Śmieje się z tej suppozycji.

— Tak? — spytał kanonik.

— Najniezawodniej. Najszczerszą, najotwartszą była ze mną. Kobieta z charakterem i uwielbienia godna.

Spojrzawszy na kanonika i widząc uśmiech na jego twarzy niedowierzający, radca dodał:

— Cóż? nie?

— Charakter istotnie godzien podziwu — energia wielka... Co się tycze jej myśli, zamiarów i przyszłości... za nichym nie ręczył! Polećmy ją opiece bożej...

— El za mąż nie pójdzie! — rzekł radca — nie — ceni swoją niepodległość. Nie może to być... Spokojny jestem...

Kanonik się znowu uśmiechnął.

— Zresztą — zakończył opiekun — familja! familja spełniła swój obowiązek... uczyniliśmy co mogli i byli powinni. Trudno.. Gwałtu jej zadać nie możemy. Co będzie, to będzie — a ja wierzę w nią i ufam że niedo-rzeczności nie popełni.

— Co, daj Boże, Amen — westchnął kanonik.

— Proszę panów do stołu! — odezwał się głos Ady — do stołu! Gdzież panna Hortensya?...

— Zdaje mi się, że nie przyjdzie, bo się czuje niedobrze — rzekła panna Dyakowska wracająca od niej.

— Poszlemy jej obiad do pokoju — odparła Ada — ale, przecież doktora nie potrzebuje?

— O! nie — już jest lepiej... Karusia siedzi przy niej.

Dwa więc miejsca zostały opróżnione... Hrabstwo, na których poczekać musiano. zjawili się wkrótce. Sama była milcząca bardzo. W czasie obiadu wpatrywała się w familijne portrety, i mało co jadła. W rozmowie od niechcenia napomknęła, iż interes męża zmuszają ich nazajutrz Ruszków opuścić, przeciw czemu opozycji nie było... Ubolewała Ada, że bawili tak krótko — ale interesa są tyraniczne...

Szambelanowa, której ciężar spadł z bark, odżyła apetyt przy obiedzie i wesołość. Mniej obojga miał radca, który czuł się zmęczony po niezmiernym wysiłku porannym... I on także dawał do zrozumienia, że się obiecał wkrótce z powrotem na pewny zjazd obywatelski, tyczący się dróg, które należało ulepszyć...

Wpadł na tę kwestę komunikacji i mówił o niej rzeczy wielce zajmujące, których nikt nie słuchał... Pułkownik niekiedy dawał mu potwierdzające znaki głową i po słówku dorzucał. Karol zajęty podróżowaniem po twarzach, szyderskim wyrazem ust niemych niepokoił... Dzień to był dla niego wielkiej uciechy... *Bona causa triumphat!* — powtarzał i ręce zacierał. Każdy dobry figiel, nazywał się u niego *bona causa*. Pospuszczane na kwintę nosy familijne, kwaśne humory, które starano się połatać na pozór wesołemi fizyognomiami — choroba nawet pauny Hortensyi, o której głośno mówił z wielką powagą, że się lęka, aby żółtaczką nie była — bawiły go i rozochocały tak, że i sam pił więcej niż zwykle, i radcę i sąsiadów w imieniu gospodyni poił — za każdym razem pytał jej o pozwolenie działania w jej imieniu i marszałkowania, na co mu nieograniczone dano pełnomocnictwo.

Pił zdrowie radcy, który bladł z gniewu. zdrowie gospodyni, zdrowie swoje, kanonika, i w miarę jak inni dąsali się coraz bardziej, on stawał się coraz więcej roztrzepany. Szambelanowa choć głową kiwając. dawała mu znaki aby nie szalał — śmiała się z konceptów i nie gniewała za nie.

Ada utrzymała się w zwykłym tonie, ze swobodą umysłu, która się żadnego przejścia domyślać nawet nie dawała. Chciała okazać, że na niej to nie uczyniło najmniejszego wrażenia...

Poobiedni czas zszedł zwykłym trybem. gdyż goście mieli zawsze swobodę rozporządzania nim. jak się im podobało. Radca rzuciwszy okiem gniewnem na pana Karola, ale zaczepiać go nie śmiejąc, zniknął, wynieśli się hrabiowstwo do przygotowań do podróży, kanonik poszedł do siebie, a Karol babuni zaproponował wiszcza (aby czasu nie tracić), wciągnąwszy doń pułkownika i pannę Dyakowską, która mu się oprzeć nie umiała... Ada przechadzała się, gospodarowała, zajmowała domem i gośćmi—będąc ciągle czynną.

Nie zaszło już tego dnia nic takiego. coby uwagi było godne. U panny Hortensyi tylko odgrywała się ostatnia scena tego dramatu... prawie bez świadków... Wróciwszy z salonu, zaczęła płakać, dostała serdecznego śmiechu. młodości, musiano jej rękę związywać, dawać krople uspokajające, rozebrano i położono do łóżka. Po krótkim spoczynku wstała, osłabiona, lecz z gniewem większym niż przed spazmami. Nie chciała sprawy tej dać za przegraną... W jej przekonaniu kanonik, który od wszystkiego rece umył, radca, nie mający ani energii, ani taktu. Hernaszowie milczący gdy wystąpić należało, szambelanowa bezsilna i dająca się powodować Karolowi. nakoniec zdrajca niecny—Karol, byli winni upokarzającej tej przegranej... Ada tryumfowała... Dla panny Hortensyi, której nienawiść ku niej tem się więcej wzmacniała, że była bezsilną—zwycięstwo znienawidzonej największą stawało się klęską!! Nie mogła dozwolić... zawsze z przywią-

zania wrzekomego — w interesie moralności, aby ten romans ciągnął się tak dalej bezkarnie i skończył u ołtarza...

Badź co bądź — musiała coś przedsięwziąć. Szuła tylko środka, którymby działać mogła...

Zwlokłszy się z łóżka, odprawiła służącą, siadła w fotelu przy stolyczku, u którego pisywała korespondencye — i zadumana spędziła tak całe poobiedzie przemyślając co by mogła zrobić, aby szyki pomieszać i rozerwać ten gorszący związek...

Mrok już padał — gdy nagle panna Hortensya, jakby uderzona szczęśliwym pomysłem, rzuciła się, nderzając w chude ręce.

Było to archimedesowe — Eureka! 'Twarz się jej wyjaśniła. palce zadrgały, fotel zwróciła ku stolikowi, chwyciła papier i pióro... siadła pisać...

Nim jednak rozpoczęła... poszła wprzód zarygłować drzwi, aby jej nie przeszkadzano... Po gwałtownym paroksyzmie, zamknięte podwoje mogły znaczyć, że znużona potrzebowała spoczynku... W tejże chwili siadła do roboty. Oczy jej znowu się zaiskrzyły, nsta uśmiechnęły... Wypracowanie dwa razy przepisywane, przekreslane, poprawiane. a po raz wtóry charakterem zmienionym skopiowane. tak aby ręki poznać nie było można—następującej było treści:

„Chodzą tu wieści u nas, że pewny młodzieniec z Grodzieńskiego, któremu imię Robert, mocno zabiega i stara się o pozyskanie rączki dojrzałej panuy milionowej. Nie kosztuje go nic ani upodlenie, ani płaszczenie się, byle się udało fortunnę zagarnąć. Pannę potrafił pono omamić na chwilę — lecz czy to potrwa aż do kobierca? wątpliwa rzecz. To pewna, że młodzieniec postępowaniem swem familji własnej zaszczytu nie robi. Nie chce mu się pracować na chleb nieczciwie, woli gotową chwycić własność cudzą, zapisując się w niewolę...

„Praktycznego tego rozumu syna czujemy się w obowiązku ojcu powinszować!! Zawsze to piękna

rzecz i dowodzi sprytu, przyjsé tak do gotowego i przy spódniczce pokorne zajmąwszy miejsce... wygodnie sobie życie prowadzić. Choćby się nie udało... popróbować warto...

„Drudzy mówią: — srom i hańba — a ja chwałę młodzieńca — rozum ma... wie co grosz wart... Honor fraszka, fortuna to grunt.“

Może tam było i co więcej jeszcze — bo pauna Hortensya raz zasiadłszy do pisania, nie łatwo rzuciła pióro, i wstrzemięźliwości nie zwała ani w gniewie, ani w korespondencyi.

Gdy kartka ta była gotowa, spaliła starannie brulion u świecy. oryginał włożyła w kopertę, dobyła jakąś pieczętkę tajemniczą z szufladki, która już zapewne uieraz do podobnego użytku służyła... lak uawet dobrała dziwnego koloru niezwycajny. i przygotowała list, położywszy adres na nim... Oddawać go jednak wprost na pocztę było niebezpieczne — ukryła więc pismo w drugiej kopereie, dodając do niej słów kilka, i do jakiejś zaufanej osoby zaadresowała...

Wieczorny posłaniec mógł go już wziąć na pocztę. a nazajutrz miał biedz do miejsca swego przeznaczenia.

Dopełniwszy tego pauna Hortensya odetchnęła, uspokoiła się. obejrzała weselej po świecie, odrygłowała drzwi... Twarz jej wróciła do tego powszedniego wyrazu z umiarkowaną złośliwością znośną, do której wszyscy byli przywykli...

Gdy pózuiej ni-co weszła panna Karolina aby się o jej zdrowie dowiedzieć, znalazła ją, jak to się nerwowym osobom trafia — zupełnie ozdrowiałą... prawie uśmiechniętą.

— Przepraszam was za kłopot, któryście miały ze mną — rzekła do Seussytywy — taką mam niegodziwą naturę. że mnie każda rzecz zbyt obchodzi. Biorę wszystko niepotrzebnie do serca... Teraz to już przeszło — sen miie orzeźwił...

Ale, moja Karusiu kochana! zapomniałam wiecznie listu do mojej pocziwej Rabskiej oddać na pocztę. Leży od rana. Gdybyś też była łaskawa go teraz choć wysłać!

— Bardzo chętnie—proszę dać—biegnę... odezwała się Karusia. rada że się wyrwie ze szpon kuzynki, która ją nieznosnie musztrowała...

Przez pannę Karolinę dowiedziano się w pałacu, iż panna Hortensya już zupełnie przyszła do siebie. Troskliwi o nią, chcieli ją odwiedzić, okazując współczucie, ale—obawiali się wymówek... i pojedynczo nikt się nie odważył. Wzięto dla obrony szambelanową po skończeniu wiszcza... i ceremonialnie odbyła się wizyta kondolencyjna, przy której mowy o niczem nie było. Wszyscy się wynieśli prędko.

Nazajutrz rano, po bardzo chłodnem pożegnaniu, hrabiowstwo wyruszyli w podróż. Radca miał się wybrać po śniadaniu. Szambelanowa chciała wypocząć jeszcze, a gospodyni mocno ją prosiła o to .. Dobry stół. wesołe towarzystwo. swoboda wiejska, uśmiechały się staruszce. Nie miała wprawdzie swych partnerów zwykłych do wista—ale grać zawsze było z kim, choć przy pomocy dziadka... Kanonik nie nudził się także i przysiadł do Sensytywy, z którą, z tytnu kuzynowstwa, bardzo a nawet trochę nadto był poufały—a biedna istota z bojaźni i nieśmiałości, opierać się jego czułościom nie mogła.

W pół żartem, powiadał, że się kocha w pannie Karolinie. Szambelanowa wierzyć nie chciała:—Gdzie tobie się kochać w tym fijołku — co trzech zliczyć nie umie! Bałamut jesteś jak zawsze—i po wszystkim...

Zaraz po wyjeździe głównych filarów rodziny, przybył Robert, którego wezwano, aby się stawił. Ada przyjęła go jako dobrego sąsiada, poufale, serdecznie, ośmieliła, zbliżyła do szambelanowej, a tak ciągle okazywała umysł swobodny, że staruszka, jak nie wierzyła w miłość Karola dla Sensytywy — tak zwątpiła też o miłości Ady dla Roberta.

— Ładny chłopak. miły, rozsądny. Innaby się pewnie mogła takim mężem uszczęśliwić — ale dla Ady!! Ho! ho! tej potrzeba czego innego. Wyimaginowali sobie i po wszystkim. Ona artystka, patrzy na niego jak na ładny obrazek — bo chłopiec co się zo wie piękny, — ale żeby tam co więcej było! — dalipan, nie wierzę.

Mówiła to przed Dyakowską, powtarzała przed Karolem, który słuchał, uśmiechał się, nie przeczył...

W ciągu pobytu szambelanowej, który trwał jeszcze dni dziesięć, Robert był bardzo częstym gościem w Ruszkowie. Ze śmiałością, na którą tylko kobiety się zdobyć umieją. Ada czasem przechodziła z nim do drugiego pokoju, aby móżdż mu kilku słowami poufałemi osłodzić oczekiwanie rozmowy sam na sam... Stawała tylko z daleka i nie dopuszczała więcej, aby się brat zapomniał, że był — tylko bratem.

Ze staruszką przyjaźń się zawiązała równie dobrze jak z panem Karolem. Gdy nadeszła chwila wyjazdu, Ada ją odprowadzała o dwie mile powozem. Robert konno... A pięknie mu było tak, na dziarskim koniu, że szambelanowej przypominało to bardzo dawne czasy, pewnych ułanów... jak on pięknych i młodych — i łzy jej w oczach stawały. Robert pokazywał ze swym siwkiem co chciał — sadił przez rowy, przesakiwał płoty... nganiał się po polach... powracał... Ada z dumą na niego patrzyła... a szambelanowa żegnając go, zapomniła się i pocałowała w głowę...

Karol ściskając go po bratersku, tak szybko mu w ucho rzucił: — Proś mnie na wesele! — że Robert nie miał czasu odpowiedzieć... Koczyk ruszył z miejsca, i tumany kurzu tylko widać było na gościńcu.

Smutne się stały Żabliszki po odjeździe Roberta. Major powróciwszy do domu, siedział w sypialnym pokoju u kominka wygasłego po całych dniach z fajką, nakładał coraz nową. stękał, zapatrywał się w ściany i okna—stracił do życia i zajęcia wszelkiego ochotę.

Gdy Burakowski przyszedł po dyspozycję, słuchał go nie słysząc, odprowiał najczęściej z tem: — Rób tam sobie co chcesz...

Po kilku dniach takich rekolekcyj, jakos zmęczył się major bezczynnością, wyszedł niby do gospodarstwa, nabnrczał, nagderał—siadł w ganku tak samo jak wprzód siadał u komina, i fajkę palił zamysłony.

Książek próbował, ale ani ekonomia polityczna, ani historia... w smak mu nie szły. Zdawało mu się, że pierwsza nauka niedojrzałą była, a przejrzałą, druga... Rzucił w ręce wzięte tomy i znowu tak dumał smętnie—co domowników martwiło.

Burakowski raz bąknął nawet:

— Żeby się też pan przejechał, czy co?

— O! dajże ty mi pokój! Przejedź się sobie sam! ofuknął go major...

Przywiązany do starego pana jak do ojca, pan Ernest Burakowski, ciągle przemyślał czem przerwać te myśli smutne—ale trudno było. Raz w polu będąc spotkał kałamaszkę Erdziwiłła.

— A cóż tam wasz pan porabia? spytał sędzia.

Burakowski przyskoczył do niego z koniem, objężdżał właśnie orkę...

— To dobrze, zawołał, zem ja sędziego spotkał! A na miłość Boga—pojedźcie do dworu, może się wam go uda rozerwać! Od wyjazdu syna — jak mruk chodzi... Zmizerniał. Kucharz powiada, że nic nie je. Postawią przed nim i nietknięte odnoszą. Dawniej miał apetyt, czasem zaśpiewał starą piosnkę... pan wie, tę,—a teraz... tylko wzdycha i fajkę ćmi... Jedź bo pan do niego...

— Cóż ty chcesz. żebym ja przed nim kozaka skakał. czy sztuki mu łamane pokazywał? rozsmiał się sędzia. Starego człowieka. gdy mu co na serce padnie, nie łatwo rozkomosić...

— A cóż mu na serce spaść mogło? zawołał Burakowski. Dzięki miłosierdziu bożemu nic złego nie ma — a że panicz odjechał!! toż on go sam tam posadził — i dobrze mu się dzieje. A tęskni po nim, toby pojechał do niego—i kwita...

— Dobry ty jesteś, mój Burakowski — odparł Erdziwił. Kto to może wiedzieć co u człowieka w sercu? A no pojedę—dodał trącając furmana.—Nawracaj do Żabliszek!

Przejechawszy. Erdziwił cały dom obszedł, nim majora znalazł gdzieś z fajką w kącie. Służba, której nie potrzebował. porozbiegała się, stary siedział sam i kwasił się.

Erdziwił zawsze z sobą zapas dobrej myśli przywoził.

— Co ty tak się po kątach na jakieś medytacje zasztywasz! — rzekł witając się. To nie do rzeczy! Nam starszym wątroba się od tego psuje—trzeba—jak oto ja nie przymierzając—choć bieda to hoc. — A u ciebie bo i biedy niema ..

Major stał nic nie odpowiadając.

Włosy zwykłe na łysinie przylepione. poopadały mu na tył. co u niego najgorszym było znakiem. Chustkę miał zawiązaną tak, że groziło opadnięciem także... surdut zapięty krzywo.

— Nudzę się—rzekł po chwili.

— Bo siedzisz w domu jak zakuty—zawołał Erdziwił—przetrząść się trzeba...

— Nie mam ochoty — niedomagam z tej nudy.. W kościach łamie.. Wszak to jeszcze nie zima, pogoda ładna. a wszystkie rany stare bolą i swędzą. nawet te. o których pozapominałem...

Poskrobał się po nodze...

Erdziwiłł gdy wpadł na smutnego człowieka. podwajał dozę wesołości. Ujął go wpół śmiejąc się.

— Co pleciesz! gnuśnik z ciebie i po wszystkim. Z sedentezyi tej choroba. Mnie żebyś przykuł na powrozie, tobym się odgryzł; na łańcuchu. tobym się urwał—a w końcubym zdechł... gdybym musiał siedzieć w miejscu. Człowiek do tego nie stworzony... Dalipan bratku—to zabija...

Wyszli w ganek. bo trzeba było kogoś zawołać dla podwieczorku.

— Mnie nie to zabija — rzekł major — tęsknota do syna. Mam go i nie mam. Głupi byłem, że m rafinował jak będzie najlepiej dla niego. a zrobiłem najgorzej dla siebie, i dla niego niedobrze.

— Alboś to nie ojciec? To się popraw! Co masz jak baba stękać—rób...

— Cóż? co? he? poczał major... he! Pani stara... to szyje, to rozpara... Albo to tak można z dnia na dzień...

Dobrze tobie mówić.

— A tobie dobrze stękać! odparł Erdziwiłł — jeżeli ci z tem dobrze... co nam do tego!! My jednak co cię kochamy — ja... mój majorze. aż mi się serce kraje... Niebabym ci przychylił.

Uściskali się. Major siadł smutny...

— Powiadam ci—poczał czując potrzebę wywnętrzenia się — od mojego pobytu u syna. pokoju nie mam... Jakieś mnie fatalne przeczucia opanowały.

— Toś mi mówił — ale imaginacya! pluń na to — bratku! zawołał sędzia. Nie ma tam niebezpieczeństwa.

— Jak to nie ma? co mówisz? Robert chłopak jak malowany... głowa otwarta — aż do zbytku... ta stara panna gotowa mi się w nim zakochać; on też, bo to niedoświadczony, niewinny, a krew moja—gorąca... i...

— No—i co? i co? przerwał sędzia... Niech się sobie—z lichem, pokochają. Cóż znowu tak okropnego...

— Jakto? porwał się major—a to co może być najokropniejszego — ona go do ołtarza poprowadził! A ja na takie małżeństwo—nie pozwolę! Nie! nigdy...

Wszystko w świecie coś warto, ale godność osobista... honor, mosanie! wyżej stoi... Chłopak na jednej wioszczynie, żeby się z taką milionową niezbyt młodą panną żenił — powiedz mi — jakby to wyglądało? he?...

Dla pieniędzy! Jazyga, mój syn, dla marnego grosza się ma sprzedąć! On! Robert! I na fartuszu siedzieć, albo pod pantoflem!...

Nigdy w świecie! nigdy!

Rozognił się major, rozsierdził, a Erdziwiłł nań patrząc miukę zrobił szyderską.

— Nie bój się! mówię ci — panna wysokiego rodu.. milionowa!... ho! ho! pokochać nie może... (chrząknął)... bywają różne wypadki — ale za niego nie pójdzie!

Dziwnym sposobem, major co się na samą myśl małżeństwa tego burzył, oburzył się znów na wyrażenie sędziego.

— Ho! a dla czegożby pójść nie miała? — szlachcic na zagrodzie...

— Ale — ale... tak mówi przysłowie — począł Erdziwiłł — a no przysłowie, jak im się to często zdarza, pła desideria za fakt podaje. Nigdy to nie bywało... Wojewoda nawet kropił w skórę szlachcica na zagrodzie. Dziś zaś wojewodów nie ma, szlachty co się zowie także niewiele... a co „Mosiu le kąt” to nie szlagon...

— Szlagon? — ofuknął major — he?

— A cóż? my w ich języku wszyscyśmy szlagony...— ciągnął dalej Erdziwiłł.—Nie bój się! Syn się trochę pobalamuci — a gdyby mu andaraczek zasmakował? to po ludziach chodził! poromansuje z atłasami — i — nic mu nie będzie.

Major fajkę zapalając, zadumał się już jakby nie słuchał. Rad był nawet rozmowę odwrócić.

— Sam nie wiem co począć, tak mi tęskno i niepokój mam taki na duszy... jakby mi coś groziło...

— Jedź do niego — rzekł Erdziwił...

— Nie mogę. Półkownik Brandys mieszka u tej panny i rządzi, musiałbym u niego bywać, a u niego będąc i u niej. Nie chcę.

— Syna sprowadź...

— Może to zrobię — a tu, znowu...

Major potarł rozrzucone włosy.

— Chłopca mi żal... no — i kaduk wie — ni wprzód, ni w zad... Sam nie wiem co począć.

— Stary wojskowy, człowiek silnej woli. żeby sobie w palce sztukał co ma poczynać! Wstydź się — mówił Erdziwił — na twem miejscu, zrobiłbym jedno czy drugie, alebym się tak nie wędził.

— Chodźmy na kawę! — przerwał major siląc się na swobodniejszy umysł.

Poszli tedy. Erdziwił zaczął opowiadać swe dykteryjki, które każdy z sąsiadów umiał na pamięć, ale to mu, jak panu Jowialskiemu, nie przeszkadzało powtarzać ich przy każdej, pierwszej lepszej, zręczności. Rad nie rad, ożywił się nieco Jazyga. Przebaskalali tak do późna. Sędzia na noc pozostał — i gdy nazajutrz odjeżdżał, miał tę pociechę, że majora rzucił w daleko lepszym usposobieniu.

Nie trwało to jednak, drugiego dnia siedział z fajką w kąciku.

Robert zwykle co tydzień pisywał. Listy to były, w których niewiele mieścić się mogło. Donosił o swem zdrowiu, gospodarstwie, czasem dodał ukłon do Brandysa, lub jakąś wiadomość. O Ruszkowie i pannie Adzie nigdy tam ani słowa nie było — wiedział bowiem, że ojcabu to mogło niepokoić.

Mimo, że pisma te nie zawierały nic ciekawego — ojciec na nie oczekiwał zawsze z niecierpliwością, a jeśli się który opóźnił — rady sobie dać nie mógł. Rzadko bardzo pisywał Brandys, po wyjeździe majora jednak parę razy mu się zebrało na korrespon-

dencyę. Nie było też i w niej żadnych szczegółów — ale że pułkownik dodawał jako Roberta widział zdrowym... że często z sobą bywali — już to majora niepokoiło.

— Włóczy się więc tam, nie wiedzieć po co! (ciągnie go ta królowa! ciągnie...

I stękał i wzdychał.

Czas tak upływał...

Jednego wieczoru zmierzchało już gdy posłany na pocztę formal przybył z listami i gazetami.

Właśnie jakoś się trafiło, że i od Roberta i od pułkownika były pisma, które poznał po kopertach... Rozpieczętował synowskie — rzucił okiem... Zbiory się kończą, kóp w polu tyle, w stodole tyle... i t. p. Brandysa list był żartobliwy i pełen wspomnień żołnierskich... Major go odłożył na swobodną chwilę. Został jeszcze jeden list, nieznajomą zaadresowany ręką. Co to mogło być? Major się ani domyślał.

Rozpieczętował — rzucił okiem na podpis — nie było podpisu...

Jak wszyscy uczciwi ludzie, major się brzydził anonimami — zawahał się czy w piec wrzucić, czy czytać.

Ciekawość przemogła...

Począł czytanie... Była to okropna chwila, ręce mu się trząść zaczęły jak w febrze, twarz krwią nabiegła cała — oczy zaszły łzami od gniewu...

— Infamnia! podłość! — zawołał ciskając papier na ziemię.

Wnet jednak podniósł go i zaczął czytać na nowo...

Stał zdretniały — czytał i odczytywał... aż mu się zaćmił wzrok... padł na ławę...

Była to owa śliczna kartka panny Hortensyi. Na majorze zrobiła piorunujące wrażenie. Ludzie więc wiedzieli, widzieli, sztydzili, mągali się. Rzecz była jawna... nieulegająca już wątpliwości. Robert był pochwycony, a na odwrót obwiniano go o nikczemne ubieganie się za groszem!!

— Poczciwe imię moje w błocie! nieszczęśliwy Robert obryzgany potwarzał!

Major zniósłby wszystkie losy pociski; tylko nie ten. który go ranił w serce samo—odbierał mu to co miał najdroższego, cześć i syna!

Z ganku wbiegł do dworku — powtarzając: Infamia! podłość!

Nie było już tu co myśleć długo.

Chciał Jazyga jechać sam natychmiast po syna—rozmyślił się — było to niepodobieństwem. Półownik stał na zawadzie — przyszłoby do tłumaczeń, wymówek. Wszystko to było niepotrzebne... Starczył jeden, stanowczy rozkaz rodzicielski:—Powracać!

Nie zwlekając major siadł do stolika... rzucił ową kartkę do szuflady, bo chciał ją zachować — choć sam nie dobrze wiedział dla czego — i począł pisać do Roberta.

Pierwszy list gorączkowo nakreślony podarł, drugi zmiął i odrzucił. Nie chciał, aby się Robert domyślał rozdrażnienia przyczyny. Jednak w ostatnim nie uniknął tego. by się coś niezwyčajnego nie przebijało...

„Kochany Robercie! Proszę cię po odebraniu listu tego, jak możesz najprędzej, przyjeżdżaj do Żabliшек. Jest tego wielka, największa potrzeba. Wymówki żadnej nie przyjmuję. Nakazuję przyjechać pod błogosławieństwem.”

Ostatnie słowa dwa razy podkreślił stary... W kwadrans potem fornal siadał na koni i pośpieszał na pocztę.

Major liczył dni — ile ich miało iść pismo, ile mogły zabrać przygotowania — jak długo podróż trwać mogła. Rad był Roberta widzieć już przy sobie. Każda chwila zwłoki wiekiem mu się stawała... Trawiła go gorączka, pił wodę — chodził — jeść ani spać nie było sposobu... Całą noc strawił w ogrodku z fajką, chłodząc się na powietrzu wolnem, i nad ranem dopiero, usnął wsparty o drzewo.

Służba zaniepokojona, Burakowski, klucznica, kucharz, dowiedziawszy się, że pan w łóżku nie nocował, pobiegli go szukać przerażeni...

Major sfukał ich obudziwszy się, i poprzepędzał, łajając i krzycząc, że mu przecie wolno było spać gdzie się podoba.

Nigdy go jeszcze takim nie widzieli. W całym dworze panował niepokój największy.

Okolo południa major się opamiętał i złagodniał. — Miał najmocniejsze postanowienie Roberta już więcej nie puścić do Zahajów, osadzić tam Burakowskiego, i nie pozwolić synowi ani na jeden dzień tam powrócić. Rozmyślając jak się miał znaleźć, chciał się przemódz, aby Robertowi nie mówić ani słowa. nie czynić wymówek żadnych—przyczyn nawet nie wyjaśniać—wprost powiedzieć, że po nim tęsknił—chce go mieć przy sobie—nic więcej.

Roberta mu żal było—wiedział, że odboleć musi, a powtarzał w duszy: — Niechaj boli jako chce...

Jemu samemu łzy się w oczach kręciły. przypominał sobie co wycierpiał dla żony... stawiał się w miejscu syna—lecz dla jego szczęścia—kończył zawsze tą zwrótką: — Niechaj boli jako chce — inaczej być nie może.

Już tego dnia poszedł sam dla syna przygotowywać mieszkanie. To, które dawniej zajmował, było za szczupłe na dłuższy pobyt. Major dla siebie przeznaczył jedną izdebkę. resztę pokoiów jakie miał — dla Roberta. Najlepszy sprzęt kazał tam zanieść, pomyślał o wszelkich wygodach. To go rozerwało.

Kilka razy jednak powracał do stolika i brał w rękę list ów nieszczęsnym .. czytał. opatrywał—egzaminował. Znalazł kopertę, rozpatrzył się w pieczęcie... Chciał odgadnąć z kąd ta nikczemna, zabójcza. pochodziła przestroga niby—w istocie sztylet i trucizna... Zgadywał. że familia panny musiała wysłać tę kartkę—ale kto?

W tym stanie rozgorączkowania znalazł go najutrz przybywający sędzia, który miał sobie za obowiązek go nie mijać, wiedząc, że zawsze go trochę rozrusza i ożywi.

Jedno spojrzenie na twarz dało mu poznać, że major musiał mieć jakiś nowy powód zmartwienia. Błady był, policzki mu nagle wpadły — oczy się powiększyły... usta miał spalone. Jazydze zachować w sobie tajemnicę było niepodobieństwem. potrzebował się wylać, uskarżyć. podzielić z kimś tym bólem.

— Co ci jest? czyś chory?—spytał.

Nikogo nie było przy nich.

— Zabity jestem, nie chory — zawołał major — chodź...

Chwycił go za rękę i przestraszonego pociągnął do swojego pokoju. tu odemknął stolik, wyjął kartkę, i trzymając mu ją przed oczyma—krzyknął:

— Czytaj—czytaj tę infamię!...

Erdziwił niedowidzący nos prawie na kartce położywszy—począł syllabizować—lecz mniej okazał wzruszenia, niż się major spodziewał.

Cóż ty na to? infamia!

— Infamią jest dla tego co to pisał... rzekł sędzia — potwarz — zazdrość. Jakis odpalony mści się pretendent...

— Myślisz że pretendent?

— A któżby?

— Familia!

— Nie — familiaby tych środków nie użyła, bo to jej srom czyni... Nie—to pretendent. Śmiać się z tego!

— A! śmiać się! śmiać! zaryczał major. Śmiać gdy idzie o honor, o cześć — o poczciwe imię. o przyszłość Roberta! Ja szaleję!...

— Kiedyż to odebrałeś? dziś?

— A jeszcze się nie wyburzył! człowiecze! co za natura żelazna!—rzekł Erdziwił. A wiesz ty, że gdybym jak trucizny tej podłości do trzeciego dnia nie...

zrzucił — tobym ja od niej umarł. Ty chodzisz z nią we wnętrznościach...

— I konam! dodał major...

Chwycił go za rękę Erdziwiłł...

— Człowiecze, upamiętaj się. Błaznom wszystko pisać wolno, ale uczciwym ludziom błazeństw do serca brać się nie godzi. Tfu! pluń na marę!

— Nie uspokoję się aż Robert tu będzie — rzekł major.

— Posłałeś po niego?

— Napisałem, aby wracał pod błogosławieństwem...

Smutnie głową pokręciwszy, Erdziwiłł siadł w krzesło.

— Stary jesteś — a gorączka! odezwał się. Należało się rozmyśleć. No — ale nie powiem już nic. Ojciec jesteś. masz prawo — rób co chcesz...

Chmurny, założywszy w tył ręce major chodził po izdebce — nogą strącając co mu stawało na drodze...

— Liczę dni i godziny... Robert powinien wedle mojego rozkazu stawić się tu natychmiast... bez zwłoki... List doszedł go...

— Pozwól jedno powiedzieć — przerwał Erdziwiłł. W roku przeszłym pisał do mnie marszałek, wzywając do komisji, było to w lutym...

W lipcu przybywam do miasta, i przychodzę do niego. Napada na mnie z góry. A czemuś to się nie stawiał? czemuś ani słowa nie odpisał?...

Człowiecze, o niczem nie wiem! — Jak to nie wiesz? — Nic nie odebrałem...

Nie może być! — Poswarzyliśmy się. W październiku dochodzi mnie list marszałka, który chodził po wszystkich Radziwiłłach, i chudy pacholek, wszędzie odpychany, nakoniec się do mnie dostał. Więc — nim się zaczniesz na syna niecierpliwieć i wymyslać, kalkuluj co z twym pismem się stać mogło. A nuż na: y g a kończy się jaki znany magnat... Poszła mu twe pismo...

Major się znecierpliwił.

— Zawsze ci się dykteryjki trzymają! Dajże pokój...

— Poczty chodzą różnie, a na pocztach siedzą ludzie. *Errare humanum est*. Bratku — cierpliwości... mówił sędzia...

Nieproszony już Erdziwił pozostał na noc. Zdało mu się rzeczą sumienia nie opuszczać przyjaciela w takim stanie ducha. Major nie bardzo był rad gościowi i jego dykteryjkom — porzucał go nawet chwilami samego; nic to nie pomogło. Erdziwił się uparł siedzieć.

— Bratku—rzekł— rób ty sobie co chcesz, choćbyś mnie miotłą pędził. nie wyjadę teraz od ciebie — samego cię nie zostawię.

Milczał major.

— Przyznam ci się, że w tem rozdrażnieniu, nawet gdy syn przyjedzie, wolę być świadkiem...

Jazyga się rzucił.

— Za kogoż mnie masz! synowi nie powiem słowa! Postanowiłem najmocniej... ale go na krok od siebie nie puszczę.

— A jeżeli zakochany w istocie? zapytał sędzia.

— Niech się przekocha — zawołał major, niech... niech...

Nie mógł dokończyć i uciekł, aby skryć łzy, które mu się z oczu potoczyły.

— Oryginalny człek, tak mi Boże dopomóż! rzekł w duchu sędzia — drugiby rękami i nogami chwycił taką żonę dla syna — on — broni się jak od nieszczęścia!! Harda dusza w ubogiem ciele... A co z tego wszystkiego jeszcze może być??

Nie wyjechał Erdziwił.. Unikał rozmowy o Robercie, major ją sam rozpoczynał.. Zaczynał się już niecierpliwić że syna nie było dotąd; sędzia mu ledwie obliczywszy dni, dowiódł, że niepodobienstwem było przybycie tak rychłe—choćby zaraz siadł na bryczkę, a dzień i noc jechał. Uspokoił się nieco Jazyga...

W miarę jednak jak czas upływał, znowu ta niecierpliwość się zwiększała i nabierała już podobieństwa do gniewu. Sędzia dosiadywał uparcie. Konie, ażeby nie objadały majora, cichaczem wyprawił do domu, kazawszy im przyjść po siebie za dwa dni — sam się nie ruszał. W istocie był tu potrzebny, bo jego przytomność nie dawała Jazydze zbyt się zagryzać myślami własnymi. Sędzia mu przeszkadzał gwałtem, gniewał go — ale — jak mówił — robił dywersję.

Następnego dnia rano wstawszy, gdy nigdzie majora nie znalazł, u ludzi dopytując o niego, musiał za nim gonić aż pod kościółek. u cmentarz, i tu zastał go u grobu żony z głową w dłoniach — zapłakanego... Jazyga miał tu ławkę, na której często przesiadywał... Sędzia umieścił się w drugim jej końcu, i czekał...

Gdy po długim zamysleniu Jazyga głowę podniósł i zobaczył siedzącego przyjaciela, wzruszyło go to — poszedł uściskać starego.

— Chodźmy do domu — lada chwila Robert przybyć powinien...

— Są rzeczy nieobrachowane — rzekł sędzia — kochany bratku — nie kwap się z nadzieją przybycia, abys się nie zawiódł. Bądź cierpliwy. Przybędzie, bos nakazał pod błog osławieństwem, ale — na Boga, nie miej mu za złe, że się choć pożegna... Gdyby tego nie zrobił, miałbym go za cztery litery. W twoją rachubę nie wchodziło pożegnanie... A — jeśli się istotnie kochają, majorze, bratku — ty wiesz co to takie pożegnanie!!

Jazyga się wzdrygnął.

— Ani o kochaniu, ani o żegnaniu wiedzieć nie chcę. Kazałem mu się stawić. powinien być — natychmiast...

— Przyjedzie! bądź spokojny...

Cały dzień Jazyga się z ganku nie ruszył wyglądając. Nie było nikogo.

Po południu zwykle posyłano na pocztę... fornal pojechał i wrócił wioząc list... Rzucił się major poznając rękę syna... płomienie oblały mu twarz... List — nie on? gdym przykazał jechać? ja! ojciec!

Sędzia przytomny za rękę go pochwycił.

Bratku—rozumu i cierpliwości.

Ten szarpał już kopertę. którą podarł w kawałki... List był krótki.

„Kochany ojcze!... Wyjeżdżam natychmiast — śpieszyć będę dniem i nocą — muszę jednak zostawić kogoś na mojem miejscu... co wyjazd trochę zwlecze... Nie stracę napróżno ani chwili...”

— Cóż ty chcesz? począł przeczytawszy z za ramienia ojca pismo... On przecie wiedzieć nie może dla czegoś mu się kazał tak śpieszyć?

Napróżno jednak starał się ułagodzić majora, który pozostał gniewnym i niecierpliwym... lecz ust nie otwierał i wstrzymał się od narzekania.

— Cierpliwym muszę być! bąknął po długiem milczeniu — potem kolej na niego tak cierpieć jak ja!!

Po wyjeździe szambelanowej wrócił Ruszków do dawnego swego jednostajnego życia. Ada do zatrudnień zwyczajnych. Kilka razy chciała coś pisać w swoim dzienniku, nie mogła... To co czuła nazbyt się sprzeczało z tem co pisała niegdyś — znajdowała dziwnem i niemal śmiesznem to, co niegdyś kresliła z najgłębszego przekonania... Walka wewnętrzna zastępowała spowiedź dawną, która ją przygotowywała. Walka ta rozpoczęta wprzód daleko, teraz weszła w nowe stadyum... Nie szło już o wyrzeczenie się

wszelkiego uczucia i przywiązania, ale o położenie mu granic... Chciała jeszcze być panią, choć się mu poddała — kochając pragnęła zakreslić linię, za którą przejść nie miała. Czyste przywiązanie braterskie — miłość siostry... coś idealnego, poetycznego. nie ziemskiego. anielskiego...

Nie tylko siebie należało powstrzymać w tej roli siostry, ale jego zmusić, by nie chciał być więcej niż bratem.

Wspomnienie tego ukradzionego jej tak zuchwale pocałunku, okrywało ją rumieńcem, napełniało trwogą. Nie spodziewała się tego zuchwalstwa, po nim, co zawsze był tak pokornym i posłusznym — gniewała się — a jednak wspomnienie było jej miłe. Oburzało ją to samą na siebie. Obawiała się okazać słabą — złamać dane sobie słowo...

Niepokój panował w jej duszy, a zamiast ją dręczyć, stawał się niemal potrzebą. Pokój i cisza po tych wzruszeniach — śmierciąby były.

Ada jednak walczyła mężnie...

Wróciły dawne rozmowy, lecz w salonie i zawsze na oczach ludzi... Robert nieznacznie napomknął o Kasi, o chatce leśnika — potrząsała głową.

— Czyż nie dosyć tu mamy swobody? czyż nie możemy wypowiedzieć sobie myśli, ręki ścisnąć? być z sobą jak siostrze i bratu przystało?

Robert też nie śmiał więcej pożądać; — starczyło mu to — byle go nie wygnano z raju.

Szły tak szczęśliwie dni jedne do drugich podobne, chociaż przyjaźń ta coraz się stawała ściślejsza, poufalsza, i granica, której nie wolno było przestąpić — coraz bliższa.

W duchu zapytywała sama siebie Ada: czy taki związek dusz, żadnym ściślejszym, uprawnionym nie poparty, mógł trwać, czy w końcu nie zwracałby oczu, nie wywoływał podejrzeń, a wreszcie czy mógł mieć rękojmię trwałości? Przychodziło jej na myśl, że ojciec mógł zażądać ożenić Roberta, a ten oprzećby

się nie umiał. Naówczas to, co się stało potrzebą jej duszy — musiałyby być poświęcone — zerwałyby się stosunki, wróciła owa czczość zabójcza... i nudy śmiertelne??

Na to nie dawała sobie odpowiedzi, a bardziej odkładała pytania natrętne do jutra.

Tymczasem starała się podnosić Roberta ku sobie, zachęcając go do pracy, poddając mu myśli, wskazując cele; a nigdy staranie lepiej i prędzej szczęśliwym skutkiem uwieńczone nie było. Robert chwycił z jej ust wskazówki chciwie, a miłość pomagała mu do nauki. Był to najposłuszniejszy, najzdolniejszy uczeń, jakiego kiedykolwiek miała zakochana nauczycielka. Zmienił się też znacznie, wiele dawnych swych upodobań zbrzydził sobie. mniej go obchodziło polowanie, zaniedbywał nawet po trosze gospodarstwo.

Poezya, sztuka, marzenia zajmowały go coraz mocniej — tam to była kuchnia życia, to jego kwiat najświeńniejszy...

Ale i on wśród tego szczęśliwego snu niekiedy trwożył się następstwami, obawiał przebudzenia. Ojciec, jak groźne widmo stał mu na oczach... Był zależnym od niego, nie władał sobą... jedno skinienie majora mogło ten gmach w gruzy obrócić...

Jak zwykle ludzie szczęśliwi, a szczęścia trwałości niepewni, odpychał te myśli i trwogi — mówiąc sobie:

— Po co napróżno kielich zatruwać?... Pijmy z niego póki można.

Po odjeździe gości. znajdowały się niemal codzień jakieś ważne przyczyny. dla których to na obiad, to na herbatę, to na wieczór Robert przybywać musiał do Ruszkowa. Ada, nie zważając na - qu'en dira t'on, przynaglała. przypominała. wymagała... Wreszcie poczynano to być uderzającym nawet dla ludzi obojętnych, nie mówiąc już o Hortensyi, która często nie wychodziła gdy Robert przybywał, a gdy

się jej pytała Ada o przyczynę, mówiła z przekąsem po cichu:

— Po cóż mam tak miłe towarzystwo, moją smutną figurą zachmurzać. Nie jestem potrzebna.

Ada zwykle na to odpowiadać nie raczyła.

Pułkownik, który z razu w tej uprzejmości dla Roberta nie widział nic nadzwyczajnego, tylko potrzebę rozrywki — naostatek zamyślać się począł, widząc go codziennie przybywającego i długie godziny spędzającego z dobrodziejką, prawie sam na sam. Nie chciało mu się uwierzyć, aby tam coś w tem być mogło. Ada mu się wydawała zbyt wysoko stojącym ideałem, a pocziwy Robert nazbyt pospolitą istotą. Zwał go — dobrem chłopczyskiem. Gdy jednak to dobre chłopczysko tak się wkradło w łaski pani. Brandys zamyślał się niedowierzając, lękając... trwając prawie.

— Ale to nie może być! powtarzał — to nie może być!

Coraz ciekawszem okiem mierzył Roberta... coraz się zwiększały podejrzenia... Parę razy zastał ich w drugim pokoju na rozmowie cichej, odosobnionych, — i chodzenie jego po sali nie potrafiło oderwać od tego tête à tête. Czasem widział ich w parku, wprawdzie w szerokiej ulicy na oczach, ale tak do siebie zbliżonych, iż można było przysiąc, że on ją trzymał pod rękę, a jej głowa prawie na jego ramieniu spoczywała.

Było mu to rzeczą przykrą, niepokojącą, bo na myśl przychodził major, i lękał się go.

— Ba! ba! mówił sobie — dla chłopca byłoby to najwyższe szczęście, ale ten utrapiony pan Piotr ze swemi dzikimi wyobrażeniami! Dajże tu sobie z nim rady... Tylko — to nie może być!

Kończył zawsze tem samem: Nie może być. — a codziennie niemożność ta wydawała się mniejszą, moźność prawdopodobniejszą... Zamyślał się Brandys...

Oprócz niego, paplali już słudzy, skorzy zawsze do wyciągania ostatecznych wniosków. Oblęcki nie mówił nic—ale domyslał się wiele. Reszta dworu była pewna, że panna za mąż wychodzi. Niektórzy oficjalisci, skarbiąc sobie łaski i względy przyszłego pana, już teraz mu nadskakiwać zaczęli—co Roberta nieco oburzało i gniewało...

Ada nie czyniła nic ze swej strony, coby mogło zapobiedz tym domysłom. owszem zdawała się sama naprowadzać na nie. Przypominała ciągle co chciała, aby dla pana Jazygi było przygotowane, schowane lub zrobione...

Od sług wieść się rozeszła z wolna po sąsiedztwie, jako rzecz pewna, niezawodna, najjuńszej już kwestyi nieulegająca. Wiedziano, że cała rodzina zjechała się do Ruszkowa, iż klękano i padano przed Adą, błagając jej, aby się wyrzekła tego związku, że ze stałością niepokonaną obstała przy swoim... i miała bardzo wkrótce wyjść za mąż.

Uwierzono w to tak święcie, iż Zarznicki z rubeznością sobie właściwą przybył Robertowi winszować. Jazyga porwał się jak oparzony, zaprzysięgając, że to nie jest prawdą, że ktoś zmyślił bajkę wie-rutną, prosząc sąsiada, ażeby się starał zbić te plotki niedorzeczne... Zarznicki poczał się śmiać.

— Dobrze — dobrze! odparł — niech i tak będzie! Ale po co te tajemnice, kiedy już cały świat wie o tem! a nadewszystko dla czego przed dobrym przyjaciелеm robicie z tego sekretu?

Robert się przysięgał, gniewał, prosił, nic nie mogło Zarznickiego przekonać... Śmiał się.

Panna Hortensya wybierała się ciągle w podróż — pakowała powoli—w istocie czekała, ażeby ta bomba, którą rzuciła po cichu, pękła i—sprowadziła spodziewaną przez nią katastrofę.

Rachowała na nią wiele—i nie napróżno — tym razem rachuba nie miała jej omylić.

Wśród różowych marzeń o przyszłości, jednego ranka, Robert odebrał list od ojca... Było to owo pismo, które mu natychmiast nakazywało, pod błogosławieństwem, przyjeżdżać do Żabliszek. Różniło się ono tak bardzo stylem i treścią, zwięzłością swą od zwykłych listów majora rozwlekłych a serdecznych, że choć nie zawierało w sobie groźnego, oprócz wyrażenia: pod błogosławieństwem, — Robert się przestraszył...

Widocznie coś zająść musiało — jakaś denuncjacja... podszept... Major musiał wiedzieć o częstych odwiedzinach w Ruszkowie. Zadrzał biedny Robert...

Nawykły do posłuszeństwa ojcu, musiał się niezwłocznie w podróż wybierać, to nie nleżało wątpliwości — ale mógłże wyjechać bez zawiadomienia, bez pożegnania, bez umówienia się z siostrą?... Lękał się, aby ojciec go nie zatrzymał zbyt długo... by... Różne a różne myśli straszne przychodziły mu do głowy, energia, jaką miał, złamana została tym despotycznym rozkazem, któremu oprzeć się nie było podobna...

List położywszy na stole — siedział tak przybity, gdy dziwnym wypadkiem, pułkownik przejeżdżający pod wrotami dworu, zapytawszy czy pan w domu? i odebrawszy odpowiedź potwierdzającą, przybył go odwiedzić.

Robert tak był pogrążony w myślach, że nic nie słyszał, i nie wiedział o przybyciu Brandysa, aż się ten ukazał na progu.

Wstał zmieszany, i pułkownik poznał natychmiast po twarzy jego, że w jakąś złą trafił chwilę. Rzuciwszy okiem na stół, dostrzegł list; zobaczył znane pismo majora — domyślił się po części... co zająść mogło. Ścisnęli sobie ręce, Jazyga stał długo, słowa nie mogąc wymówić.

— Jesteś czegoś skłopotany? spytał Brandys.

— W istocie, kochany pułkowniku — ja dla ciebie nie mogę mieć tajemnic. Patrz — jaki list odebrałem

od ojca!... Nie mogę pojąć co się stało. Jestem w rozpacz!

Brandys siadł czytać i głową potrząsł.

— W liście nie ma nic tak strasznego, rzekł — tylko po cóż ta groźba. pod błogosławieństwem, jakby wątpił, że go posłuchasz?

Spojrzał na zarumienionego Roberta, który ruszył ramionami.

— Wiecie, kochany pułkowniku, rzekł Jazyga — jak ja kocham ojca, jak go szanuję. Każe, jadę natychmiast — ale... ale mi to serce rozdziera. Nawykłem do... was, do tego życia. towarzystwa. Stało mi się ono potrzebą...

Brandys patrzył nań ze współczuciem, jaśniej coraz widział co się święciło.

— To jakaś fantazja starego pana Piotra—rzekł— pojedziecie. powrócicie... No—i my do was zatęsknimy. W Ruszkowie po was pustki zostaną. Moja dobrodziejka lubi wasze towarzystwo.

— A ja bez jej towarzystwa — zawołał Robert żywo—ja nie wiem—czy wyżyć potrafię...

Brandys brwi podniósł do góry i usta wydał — nie rzekł nic...

Robert przeszedł się parę razy po pokoju. mając na ustach jakieś wyznanie, i nie śmiejąc go uczynić.

— Coś tedy jest! mówił w duchu pułkownik — coś jest...

— Według ojcowskiego przykazania muszę wyjeżdżać — natychmiast, odezwał się Robert wzruszony. Wy znacie ojca, nie cierpi on, aby nie usłuchano komendy. Powinienbym tejsze godziny kazać zaprzęgać, ale to nad moje siły... Nie mogę wyjechać nie pożegnawszy jej.

To na prędce wyrzeczone „jej.“ pułkownik zanotował sobie i w duchu powtórzył:

— O! coś jest!

— Gdybyś mnie pułkownik zabrał na bryczkę, jeżeli jedziesz do Ruszkowa?—dodał Jazyga.

Brandys wstał zaraz.

— A z największą chęcią — zawołał — siadajmy i jedźmy.

Robert pochwycił kapelusz tylko — i oba siedzieli na bryczce. Podróż upłynęła w milczeniu, bo Jazyga był zamysłony, a Brandys oczy miał w niego wlepione — i mocno też zmieszany się czuł całym tej sprawy obrotem.

— Kaszy się nawarzyło... mrucał sam do siebie — major pocziwy — ale uparty jak... Chłopca mi żal...

Nie spodziewano się w Ruszkowie pana Roberta, a choć go zawsze serdecznie witała Ada, gdy przez okno zobaczyła prawie biegnącego, bladego i widocznie pomieszanego, a za ukłon jej od odpowiadającego smutnem głowy skinieniem — wybiegła zaniepokojona. Spotkali się w salce... Nie było tu nikogo. Robert chwycił jej rękę...

— Ado kochana — nieszczęście mnie spotkało. Ojciec mi, pod błogosławieństwem, natychmiast wracać każe... Jest w tem coś groźnego... dla mnie — dla nas... Patrz, czytaj, oto list jego.

Ada, która pobladła i zachwiała się niemal z jakiegoś niewytłómaczonego przestachu list chwyciła żywo. przeczytała go, stała czas jakiś zadumana, i wzięwszy go za rękę, poprowadziła za sobą, nie do przyległego pokoju — ale — po raz pierwszy — do tego swojego przybytku — do tajemnic swych kryjówki. w której panowała Luiniego Madona i wizerunek jej matki.

Nie pomyślała nawet, jak w oczach ludzi to przypuszczenie Roberta do niedostępnego mieszkania jej dziewiczego, mogło mieć wielkie znaczenie. Ogarniała ją trwoga, nie zważałaby była na nic. Stracić go! nie widzieć się — rozstać — być zagrożoną znowu serdecznem osamotnieniem — równało się śmierci...

Ada upadła na kanapę, wskazując Robertowi krzesło przy sobie...

— Co to jest? co to może być? — zawołała — domyślasz się?

— Nic nie wiem — ale wszystkiego się boję — wstchnął Robert.

-- Musisz jechać? nie możesz się wymówić?

List leżał otwarty na stoliku. Robert wskazał na nim podkreślone wyrazy — pod błogosławieństwem.

— A! tak! — przerwała Ada — błogosławieństwo ojca, matki — ma siłę potężną... musisz być posłusznym... Musisz jechać... ale powrócić musisz.

— O jakżebym wyżył bez tej myśli, bez tej pewności! — począł Robert chwytając ręce, których mu nie wyrывała, i okrywając je pocałunkami gorącymi.

Nie mówiła nic, lecz spojrzawszy na nią, ujrzał dwa ciche strumienie łez, które po jej twarzy spływały...

-- A! tak! powrócić musisz—do mnie—do siostry...

— Powrócę lub — umrę...

Nie umieraj — powracaj! — zawołała Ada — ty musisz żyć dla mnie. ja na całym świecie mam tylko jednego ciebie. Rodzina! któż mnie z nich kocha, kto mnie zrozumie, przed kim ja mogę tak się odkryć z całą duszą. jak przed tobą?... Ty mój dobry. kochany... bracie...

Ada zapominała się mówiąc: uczucie, któremu do siebie broniła przystępu, ogarniało ją. opanowywało... Robert przykleknął przed nią... i wzburzony szalał. nie mogąc przemówić słowa.

— A! wróć — choćbym się był zmuszonym urwać z łańcucha — wołał. — Choćbym ojcu miał być nieposłusznym... Sama myśl rozstania mnie zabija...

— Ten list—nagle podchwyciła Ada, biorąc go do rąk —ten list ma w sobie jakąś groźbę okropną... Czujesz ty to... Tam cię coś czeka...

— Ja wiem — ja przeczuwam — ja widzę — wołała Ada — tam doniesiono nas, oskarżono... on cię gwał-

tem tam ożeni, a naówczas tyś dla mnie stracony na zawsze...

Jestem siostrą tylko — ale jak kochanka zazdrośną... Nie mogę cię oddać nikomu...

— A sama nie możesz być moją! — szepnął tęskno Robert.

Ada wyrwała się z za stolika i głowę a twarz zakrywszy rękami, biegła po pokoju, jakby sama uciec chciała od siebie. Walczyła..

— Co począć? — zawołała stanąwszy przed nim. — Powiedz mi Robercie... mów...

Jazyga zbliżył się do niej nieśmiało.

— Ty wyrokuj — rzekł — gdybym ja mógł powiedzieć czego pragnę, gniewałabyś się na mnie. Ja cię kocham nie jak brat... a! nie — jak szaleniec, co pragnie mieć cię całą, swoją — kochanką i żoną... Naówczas nic na świecie rozdzielić nas nie potrafi. Moją bądź...

Ada spuściła oczy — odwaga ją opuściła, czuła się zwyciężoną — wyciągnęła ręce...

— Będę twoją... — rzekła słabym głosem. — Muszę...

Głowa jej opadła na jego piersi — ale wnet podniosła się mężnie. Zdjęła z ręki pierścioneł.. Robert miał prostą obrączkę jakąś na palcu, machinalnie nie mówiąc nic — ściągnął ją i włożył Adzie na rękę, przyjmując pierścień, który mu dała.

— W obliczu Boga — odezwała się Ada — przysięgnijmy sobie — połączeni jesteśmy na wieki. Błogosławieństwo kapłana przyjdzie gdy będziemy je mogli pozyskać... ale od dziś — tyś mój — jam twoja...

I stali tak chwilę, jakby przerażeni uroczystością tej godziny życia stanowczej — wzywając z Niebios błogosławieństwa. Pierwsza Ada uśmiechnęła mu się z za łez...

— Chodź — rzekła — siadaj, mówmy co nas czeka.. Bądź otwartym — ojciec twój będzie przeciwny?

— Sądzę... — odparł cicho Robert.

— Czy będziesz miał odwagę wyznaczyć mi co się stało?

— Nie w pierwszej chwili — rzekł Robert — ale będę miał mężtwo wytrwać, oprzeć się i pozostać ci wiernym. Ojciec mi zapowiedział, że na małżeństwo z kim innym niż z ubogą szlachcianką nie pozwoli.

— Miał już wówczas mnie na myśli? — zapytała Ada.

— Być bardzo może. Ja stałem mu się nieposłusznym... inaczej być nie mogło... Będziemy przecierpieć musieli... Ado — miej wiarę we mnie.

— Przysiągłeś mi ją dobrowolnie — nic nas rozewrać nie może — zawołała Ada. — Wierzę ci. Ojciec ma prawa... Uczynisz tak jak jesteś obowiązany... Będę cierpiała i pozostanę ci wierną. Potrzeba mężtwo, mieć będę mężtwo — a o twojem nie wątpię...

Ty zdradziłeś ojca dla mnie, ja (wskazała na portret matki) cieniom mej drogiej rodzicielki stałam się niewierną... Wiarołomni oboje.. sobie pozostaniemy wierni! Drogośmy to okupili!

Ada sobie oczy zakryła i płakała.

— A! w co się obróciły wszystkie postanowienia moje, walka tak długa!... — mówiła cicho — serce zwyciężyło...

— Nie wymawiaj mi tego — odezwał się Robert.

Wśród tej rozmowy czas uchodził tak niepostrzeżony, że godzina obiadu zwykła zbliżyła się. W pałacu wiedziano, że Robert przyjechał. Pułkownik chodził po salce bład, i domyśliwszy się, że Ada wprowadziła Jazygę do siebie — zbity z tropu, pomieszany... nie wiedział co począć, aby... zapobiedz kompromitacyi.

Dwór cały oczekiwał w sali jadalnej, szeptano dziwiąc się opóźnienin, Brandys nareszcie odważył się podejść do drzwi odkaszlnąć.

Ada go po głosie poznała, spojrziała na zegar i trochę się zmięszała.

— Idź — rzekła do Roberta — wyprzedź mnie... ja nie mogę się jeszcze pokazać. Mam zapłakane oczy, włosy stargane... Przyjdę za chwilę...

Robert wysunął się cicho, obawiając się być spostrzeżonym, lecz pułkownik już był powrócił do salki, a gdy Jazyga wszedł, udał, że nie widział z kąd wraca i nie spytał go o to. Rzekł tylko zimno:

— Obiad się dziś przypóźni...

Zaczęli potem mówić o pogodzie. Pułkownik niechęć spojrział na rękę Roberta i poznał pierścionek, który widział na palcu swej dobrodziejki. Przerażony tem odkryciem, wpół rozpoczętego frazesu dokończyć nie umiał. Zakaszał się...

W kilka minut wyszła Ada ze swego pokoju... Stał się cud, który ona tylko na sobie dokonać mogła.

Ta kobieta, przed chwilą nieprzytomna, złamana, płacząca—wracała z czołem jasnem, spokojnem, wesołą, zimną na pozór, pani siebie, tak, że nikt nie wtajemniczony poznałby po niej nie mógł, że niedawno z oczu tych łzy płynęły, ręce te drżały — i los się jej rozstrzygnął. Nawykła długie lata panować nad sobą, miała jeszcze tę władzę, że po wybuchu, który ją zwyciężył — odzyskiwała siły i nakazywała sobie ten uroczysty spokój, który był zwykłym wyrazem jej twarzy...

Pułkownik uląkł się zobaczywszy ją, Robert był zdziwiony i oniemiały. Na nim scena ta zostawiła ślady, poznać było łatwo, że cierpiał i był szczęśliwy, że gorączka nim owładała. Ada starała się mu dać swojej zimnej odwagi.

— Wiesz, kochany pułkowniku?—poczęła niby obojętnie — słyszałeś? Tracimy na jakiś czas pana Roberta... Major się do niego zatesknił i powracać mu każe...

Brandys smutną twarz przybrał.

— A i mnie to bardzo przykro było posłyszec — rzekł — pocziwy major, ma także swoje kaprysy czasem...

— Byleby nam nie trzymał kochanego naszego sąsiada — ciągnęła dalej gospodyni, prowadząc ich do

stołu — będzie nam po nim tęskno i pusto -- nie prawdaż?

— Jeśli komu to mnie! — rzekł Brandys — bom się ja do niego, mogę powiedzieć śmiało, przywiązał jak do syna...

U stołu nie było szczęściem tego dnia kanonika, którego przytomność zawsze chłodem wiała na wszystkich — ale przyszła, może umyślnie, panna Hortensya. Służąca jej, starająca się plotkami przypodobać pani, doniosła jej, że Brandys przywiózł pana Roberta, który bardzo śpiesznie wbiegł blady i pomieszany i pani się z nim w swoim pokoju od godziny zamknęła.

— W swoim pokoju? — zapytała stara panna — to nie może być!

— Słowo pani daję — wszyscy widzieli. Przeszło godzinę tam siedzą.

— A! no — tego tylko brakło! — uśmiechnęła się szydersko panna. — Mówisz — że pomieszany przyleciał?

— Jagusia go widziała gdy biegł do pałacu, jak śmierć blady... Pani go z okna zobaczyła, zaraz wyszła naprzeciw niemu, i jak się zamknęli, tak do tej pory..

Hortensya domysliła się skutku swojego listu... Zaledwie usiedli do stołu, zmierzyla ustami złośliwemi Adę spokojną i Roberta, który był pomieszany i roztargniony... uchem pochwyciła coś o wyjeździe — i spytała:

— Cóż to pan ucieka od nas?

— Jadę do ojca! — wybąknął Robert.

— Na długo? — badała Hortensya, ciągle mu w oczy patrząc.

— Nie wiem jeszcze...

Ada przerwała:

— Nic dziwnego, że stary ojciec zażądał bytności syna...

Hortensya dwuznacznie wahała głową. Nie mogła się wstrzymać od tego, by jej tłumiona radość nie

wytrysnęła na żółtą twarz. Usta się krzywiły do przykrego śmiechu.

— Prawda—odezwała się Ada, umyślnie zwracając się do Hortensyi — szkoda nam będzie miłego sąsiada?...

— A, bardzo, bardzo — szepnęła panna — tem więcej, że gdy go ojciec pochwyci, pewnie nam go nie rychło powróci. Któż wie? może mn tam przygotował niespodziankę w postaci ładnej pańienki... i kawaler powróci nam żonatym... A! toby było zabawne...

Mówiąc, spojrzała Adzie w oczy. a ta wytrzymała wzrok, odpowiedziała nawet pół-śmiechem, i zwracając się do Roberta, powtórzyła:

— Prawda! toby było bardzo zabawne?

— Zdaje mi się, że tej zabawy pozbawiona będzie panna Hortensya i pani—rzekł Robert—nie myślę się z tem śpieszyć...

— Jakto? nawet gdybyś pan znalazł drogą sercu bohdankę? — spytała Ada.

— A! pani, bohdankę! — zawołał Robert — bohdankę... taką. coby była w istocie od Boga zesłaną... to wcale co innego! Aleśmy takiej łaski Bożej nie warci!

— Któż wie?—złośliwie dorzuciła Hortensya—Bóg czasem daje nad zasługi...

Hortensya rada się była dowiedzieć coś więcej od Roberta. mieć jakąś wskazówkę. Spytała więc zaraz:

— Prędko pan wyjeżdża?

— Zapewne jutro... — rzekł Robert.

— Mówiłeś mi pan, że po jutrze? — odezwała się, znaczące zwracając nań spojrzenie Ada. — Tak? nie prawdaż — po jutrze?

— Zapewne, bo jutroby mi się wybrać było trudno—odparł Robert, nie wiedząc co znaczyło pytanie, ale chcąc być posłusznym.

— Sliczną będziesz miał pan podróż — dołożyła Hortensya — a nasze życzenia najlepsze towarzyszyć mu w niej będą.

— Pani—nie mogąc się wstrzymać już, żywo odpowiedział Jazyga — że na podróż mieć będę życzenia pani, o tem — nie wątpię!!

Skłonił się—Hortensya się zarumieniła nieco.

— Czy to złośliwie, czy naiwnie pan powiedziałeś? — nie mogąc rozpoznać, odstrzeliła — pan bywasz tak naiwnym!

— Ja w zrozumieniu znaczenia słów pani nie mylę się nigdy—rzekł Robert trochę rozdrażniony—ale też pani naiwną nie bywasz nigdy.

— Pan czasem bywasz i—niegrzeczny—zakończyła urażona. Wsparła się o poręcz krzesła. założyła ręce na piersiach i w sufit się zapatrzyła. Epizod się na tem zakończył. Po ustach Ady uśmiech przelatywał.

— Najłagodniejszych istot — rzekła schylając się do kuzunki — nigdy drażnić nie potrzeba.

Hortensya poruszyła ramionami. Obiad skończył się wreszcie, a panna natychmiast odeszła do swego pokoju. Robert chciał też odjeżdżać, dano mu znak, aby pozostał chwilę...

Ada wywiodła go z sobą do drugiego pokoju.

— Nie—dziś—ja się tak pożegnać z tobą nie mogę. Daruj mi dzień jutrzejszy—napisz do ojca, że przybywasz... Po południu będę u Kasi... Znajdziesz się tam przypadkiem... Choćby mnie szpiegowano! cóż mi tam!... Jestem od dziś dnia twoją żoną..

Nie miał czasu odpowiedzieć Jazyga, bo Ada powróciła do sali — gdzie pułkownik pił kawę, przypatrząc się obrazom... od zobaczenia tego pierścionka był jak osłupiały...

Myślał i przemyślał o majorze, czasem mu do głowy przychodziło samemu jechać z Robertem — lecz musiał ignorować to, z czem się mu nie zwierzano. Mógłby był wprawdzie jednym słowem powiedzianem

o pierścionku, który widział na palcu u Jazygi, zmusić go niejako do wypowiedzania się — lecz środka takiego użyć mu się nie godziło...

— Czy sobie chłopak da radę z ojcem? — mówił w duchu — jabym przecie mógł mu być pomocą — ale mnie się nie zwierzą.

Trwała jeszcze jakiś czas rozmowa obojętna, i Robert pożegnał gospodynię. Pułkownik mu towarzyszył przez park do swojego dworku, gdzie nań konie czekały. Nie mógł się wstrzymać, aby choć słówkiem nie przyszedł w pomoc Jazydze...

— Jedziesz do ojca — rzekł — może się tam na ciebie za co dąsa? Stary ma fonfry czasem — ja go dobrze znam. Znam go dawniej i z innej niż ty strony — posłuchaj rady mojej. Z nim nigdy na ostro walczyć i ucierać się o nic nie można. Bierze na kiel. Powoli i łagodnie — to zmięknie... Powiadam ci, że ja go znam...

— Dziękuję kochanemu pułkownikowi — odparł Robert rumieniając się, że jego położenie odgadnięto — ja też kochanego ojca znam dobrze — a nie sędzę, żebyśmy z nim przejście jakie mieć mogli. Nie ma do tego powodu.

— Nie ma powodu? a to chwała Bogu! — odparł ściskając go pułkownik — i daj Boże, aby go nie było...

Robert siedział już na bryczce.

Brandys się pochylił mu do ucha...

— Nieostrożny jesteś — szepnął — pierścionka na palcu nie noś — włóż go na sznurku na szyję...

To mówiąc, zawołał na furmana:

— Ruszaj!

I konie od ganku pokłusowały, a pułkownik mu się jeszcze śmiejąc ukłonił: — Do zobaczenia...

Radzie tej był posłuszny Robert, bo zaledwie dojechawszy do domu, zawiesił Ady pierścioneł razem z medalikiem, który miał po matce, a który go nigdy nie opuszczał... Powrót do domu — uspokoił go nieco.

Czuł się mężnym, zbrojnym przeciwko wszystkiemu co go mogło czekać — był szczęśliwszy nad wyraz wszelki — dopiął tego o. czem nawet wczoraj jeszcze nie śmiał marzyć...

Stało się to niespodzianie dlań — bo i w sobie nie wierzył, i ludzkiego nie znał serca... Słowo Ady było dlań prawem — chciała być siostrą, miał zostać bratem... Ona sama skruszyła tę zaporę...

Nie tał przed sobą — iż z ojcem walka będzie straszliwa... Nie wiedział nawet jak ją rozpocząć i prowadzić, lecz postanowiwszy wytrwać, lekce sobie ważył co cierpieć będzie musiał. Miłość ojca dla niego, wlewała otuchę

— Zlituje się nademną! — mówił w duchu...

W czasie rozmowy z Adą nie miał zřeczności Robert umówić się z nią o listy. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, iż bez nich wytrwałby im obojgu było trudniej. Lecz ojciec mógł pilnować korespondencji, przed czasem wydałaby się tajemnica.

Ernest Burakowski, towarzysz jego szkolny, przyjaciel od serca, zdał mu się najwłaściwszym pośrednikiem. Nie wiedział, że było postanowieniem majora wysłać go z Żabliszek do Zahajów i tam osadzić. Rachował więc, że przez niego listy od Ady będzie mógł odbierać...

Nazajutrz trudno mu było naznaczonej doczekać godziny, siadł na konia wcześniej i pojechał do Rybactkich, aby tam czekać na Adę.

Pozorem podróży tej była prośba, aby mąż Kasi, w czasie jego niebytności, na las i gospodarstwo w Zahajach naglądał... Trafiło się, że pana Stanisława znalazł w domu. Wyszedł naprzeciw niego z twarzą swobodną i chłopakiem na rękę, który mu wąsy chwycił i targał.

— Panie Stanisławie — odezwał się zsiadając z konia — bardzom rad, że zastałem was w domu — mam prośbę.

— A nu! kochany panie — co każecie! gotowem...

I zawołał do żony: — Kasin, weź ino chłopca!

Nadbiegła zarumieniona jejmość, która była około pieczywa w czeladnej izbie.

— A! to pan Robert... Jakże się pan ma... A to gość!

Wzięła chłopca z rąk męża i całować go a ścisnąć poczawszy—wesoło się odezwała:

— Patrzaj-no pan! Co za śliczny chłopak! Słowo daję! Aniołek! Jak się pan ożenisz, życzę panu takiego! I uciekła śmiejąc się. Stach go do dworku wprowadził.

— No — co tak? na pańskie usługi!

— Muszę odjechać gospodarstwo. ojciec mnie do siebie wzywa — począł Robert — przyjechałem cię prosić — abys tam czasem i na pole i na lasy zajrzał. Bądź łaskaw...

— Z duszy serca! Ale po cóż pan odjeżdżasz?

— Muszę! — rzekł Robert sumtnie.

Wszczęła się tedy rozmowa o lasach. o gospodarstwie. o ludziach, których zostawiał w Zahajach — o zasiewach.. o różnych sprawach... Szło Robertowi o to, aby Ady się doczekać. Jakoż posłyszał naszczekiwanie jej psów. a Kasia wybiegła w ganek. klaszcząc w dłonie... Chłopak już siedział na ziemi...

— To mnie Bóg dziś miłemi gośćmi obdarzył. szczeniota! leśniczyzna. Słowo daję — niech to będzie bez urazy mojej drogiej paniuńci — ale to w tem jakieś przeznaczenie. Prawie zawsze ile razy pani u nas — tak i pan Robert albo jest. albo go tylko co nie widzi!

Zaczerwieniła się Ada i Kasia coś się domyśleć mogła.

— A może pani to niemilo? — szepnęła — poszlibyśmy do altanki!

— Ale nie — cóż mi tam! — rzekła Ada.—Wiesz. że to mój dobry przyjaciel i sąsiad...

— I słowo pani daję - co to za człowiek dobry. serdeczny, ludzki, a taki nie dumny... a miły z każdym! — mówiła Kasia — no — i chłopak śliczny!!

Nic na te pochwały nie odpowiadając, Ada weszła do dworku...

— Jak się pan masz... i pan! odezwała się witając. Zwróciła się do Roberta.

— Nie pojechałeś więc jeszcze?

— Troszczyć się o moje gospodarstwo, odpowiedział Jazyga — właśnie przybył prosić pana Stanisława, aby mi na nie naglądał...

— Bardzo się cieszę, że się z panem spotkała jeszcze — odezwała się Ada głośno. Po pożegnaniu naszym przyszedł mi na myśl interes jeden, który chcę mu powierzyć. Tam w Grodzieńskim...

— Co pani każe?

— Powiem później — wszak wracamy kawałek drogi razem? Zaczekasz pan na mnie...

Skłonił się Robert tylko. Ada mówiła to tak swobodnie, swym królewskim tonem, że niktby się nie śmiał domyślać innego wyrazów znaczenia...

Kasia nakrywała stół do podwieczorku! chwaliła się postępami swojego chłopaka, jego zębami i wymawianiami wyrazy, ojciec milczał. Robert spoglądał na Adę, przez której przybraną wesołość smutek przeglądał dzisiaj...

Przebyli tak godzinę, więcej patrząc na siebie niż mówiąc, żegnając się oczyma tylko!

Wstała na koniec Ada, pożegnała Kasię i gospodarza... Robert konia prowadząc za sobą, pieszo jej towarzyszył.

Z chłopcem na rękę stojąc w ganku i spoglądając na nich, Kasia głową poruszała...

— Coś mi się zdaje — mruknęła do męża — coś mi się widzi! Stach — co ty myślisz? he?

— Ja? odparł śmiejąc się Rybacki — nasza panna za mąż pono się wybierze...

— A toś zgadł, bo i mnie to było na myśli. Uważałeś jak to na siebie patrzyło? Zerknie jedno, spojrzy drugie, i oczy wnet pospuszczali. Oj! że tam coś jest to jest...

Schyliła mu się do ucha...

— Już on ją drugi raz ztąd odprowadza...

Stach się śmiał.

Ada i Robert szli długo, długo w milczeniu... Gdy dworek leśnika z oczu im zniknął, ręce sobie podali...

— Żegnać się — żegnać — odezwała Ada — wczoraj dopiero połączywszy dłonie — mój Robercie — jakże to smutno... Jak ja tu zostanę bez ciebie! Jak ty tam będziesz bezemnie? Kiedy powrócisz?... Czas ten — niegodziwy czas co pożera wszystko, nawet serca — nie odmienił mnie i ciebie? nie ostudzi?

— Ado droga... ja się lękam tylko, ażeby mnie nie rozplómił więcej — rzekł Robert. Nie lękam się czasu, ani wrażeń od ludzi — boję się tylko ciebie jednej.

— Mnie? podchwyciła Ada — chyba dla tego, że mnie znasz mało! Jam sierocem życiem, męką, przeboleła lata długie... ciebie jednego mam... Zmienić się nie mogę — chyba umrzeć...

Zaczęła go wypytować o ojca — Robert tać nic nie chciał. opisał go z miłością dziecka. ale z trwogą, jaką czasem go napelniał... Umówiono się o listy... lecz Ada czekać miała, aby jej adres nadesłał...

— Tymczasem pisać będę — rzekła — potem wyszlę ci razem myśli moje. Dawniej nawykłam była pisać dziennik, teraz go znowu dla ciebie rozpocznę, abys mi ciągle był przytomny.

Szli tak rozmawiając, ona się znowu wsparła na jego ramieniu, on objął ją jak wówczas gdy z ludzi obcych sobie stali się naprzód siostrą i bratem. Żywe było przypomnienie tej chwili — która już teraz w dalekiej leżała przeszłości... Szli, a zbliżając się do kraju lasu, zwalniali kroku, jak gdyby to rozstanie miało być wiecznem — jakby dla serc niemożliwem było...

Drzewa się przeredzały coraz, z po za nich Ruszków, park i w zieleni kłombów pałacu kominy widać było. Tu się rozstać musieli. Słowa zamierały

na ustach. Wieczór teraz nachodzący prędzej, mrokiem swym poczynął okrywać krajobraz dokoła...

Ada się zatrzymała...

— A! nie! — zawołał: — niech będzie co chce — chodźmy dalej... Odprowadź mnie do ogrodu. Spotka nas kto? Mniejsza o to, okupię tem chwilę dla mnie drogą... Nie wiem czemu to rozstanie serce mi rozdziera... Lękam się go!! Chodźmy! Daj mi rękę...

Szli razem ku ogrodowi... Okolica była pusta. nie spotkali nikogo, nie nie przerwało tej przechadzki, której smutek towarzyszył, jak przecucie...

Ada się kilka razy spytała go:

— Kochasz mnie?

Musiał powtórzyć i powtórzyć jeszcze... i po-przysiąc... że jej wiernym zostanie...

— Mój drogi odezwała się już zbliżając ku parkowi — nie śmiej się ze mnie — nie dziwuj się niedowiarstwu i trwodze... Jam się wychowała we wstręcie tego uczucia, które mnie dziś pochłoneło całą — jam go była pozbawiona od śmierci matki. Ta biedna męczennica, co tyle przez miłość cierpiała, zakazała mi kochać, serce mi zamknęła swemi łzami. Ja jestem jak podróżny, co szedł długo przez pustynię i nie ośmielił się pragnienia gasić, bo go przestrzono, że źródła były zatrute... aż przypadł do żywego źródła... i boi się odejść od niego, aby go pustynne piaski nie wypłyły! Jam biedna! Dla tego tak śmiała, zuchwała, bezwstydna może... Żałuj mnie... proszę...

Mówiła tak jedną już rękę trzymając na klamce od furtki ogrodu, drugą ściskając dłoń jego—chcąc iść i nie mogąc odejść.

Cichym nareszcie głosem—rzekła.

— Bądź zdrow, miły mój, niech cię Bóg prowadzi—powracaj!! powracaj...

Cichym pocałunkiem skończyła się smutna rozmowa. Robert był upojony. Ada weszła do parku.

O trzy kroki od wnijscia stała otulona chustką czarną panna Hortensya. Ada przeszła koło niej dumnie podnioswszy głowę, nie mówiąc do niej słowa... Na pozdrowienie nawet nie odpowiedziała...

Gdy znikła wśród klombów, stara panna nśmiechnęła się złośliwie patrząc w tę stronę, w którą poszła...

— Macie słuszość państwo moje — rzekła do siebie — że nawet tak małych bezbronnych jak ja istot nie należy drażnić. Mszczą się. Małeńki skorpionik śmiertelnie kąsa. Mnie kiedyś nazwała skorpionem. muszę to nazwisko usprawiedliwić...

Pojechał miły! Co za czule było pożegnanie!... W chatce. w lesie... potem drogą aż do ogrodu... potem u furtki.. Rozstać się nie mogli... Ada wyraźnie czas stracony cnotliwie — chce odzyskać! Pojechał biedaczek — i bardzo wątpię czy powróci... Pan major człowiek honorowy, nie dopuści, aby syn jego u wielkiej pani, pod pozorem męża, został oficjalistą!! Rozchwije się ten romans tak śliczny... daj Boże tylko by bez następstw...

Zaczęła się smiać konwulsyjnie... sucho... gniewnie — strasznie...

Szła tak otulona chustka do werandy. pod którą się już świeciło. Z dala widać było żywo po niej przechadzające się osoby, zajęte jakąś gorącą rozmową, którą okrzyki przerywały...

Panna Hortensya była zawsze bardzo ciekawa. W tym spokojnym Ruszkowie — coś takiego. ruch niezwykły... zwiastował wypadek. którego ona — pierwociny straciła. Przyspieszyła kroku co żywo...

Pułkownik. Musiatowski, Rubaszek. kamerdyner i Ada stali rozmawiając głośno. Ada miała ręce zamknięte...

— Cóż to się stało? zapytała podchodząc Hortensya...

— Pani nie wie. krzyknął pułkownik — wszak to ten niewdzięcznik, ten okryty łaskami pani... ten...

— Ale któż? kto?

— A Oblęcki! wykradł pannę Karolinę! Ktoby się był tego spodziewał!...

— Jakim sposobem? kiedy?

— Karoliny od rana nikt nie widział, ale mówiono, że chora... Oblęcki zamykał się nie raz w pracowni i wszyscy nawykli nie dobijać się, gdy nie otwierał... A tu dopiero teraz okazuje się z listu panny Karoliny do pani, znalezione go w jej pokoju... że z Oblęckim nciekła!

Pułkownik ręce załamywał. Ada stała odrętwiała, list trzymając w ręku... Hortensya śmiała się złośliwie.

— Wątpię, żeby bardzo daleko uszli, rzekła — łatwoby ich było dogonić — a potem co zaszło, naturalnie ślub jest koniecznością... Prawdziwie... z tego co się tu u nas dzieje, wnosząc — dodała ciszej, — zaczynam się obawiać, aby i mnie kto nie porwał! Jest coś w powietrzu!

Ada więcej się domyslała niż posłyszawszy te wyrazy, pogardliwe rzuciła na nią wejrzenie.

— Biedne dziecko — biedna Karolina! szepnęła... Nie mam gniewu, mam litość nad nią. Oblęcki nigdy nie był przy zdrowych zmysłach. Jakże mogła mu się dać omamić, jemu co sam sobie w życiu drogi i chleba znaleźć nie może! Biedne dziecko!...

— Ja nie mam żadnej litości nad nią — przerwała Hortensya. Zawsze była płochą, choć ndawała skromną. O! oczkami strzelała doskonale!... Jak sobie pościele tak się wyspi. Skarał ją Pan Bóg za hypokryzyę... Niewiniątko...

— Nielitościwał zamruczała Ada, oddalając się...

Pułkownik za pierwszą wieścią wysłał był pogonię — lecz czy ludzie nie bardzo śpieszyli, czy kochankowie o wiele ich wyprzedzili, nigdzie nawet języka o nich nie mogli dostać. I nie dziw, okazało się bowiem, że panna Karolina za poradą malarza przebra-

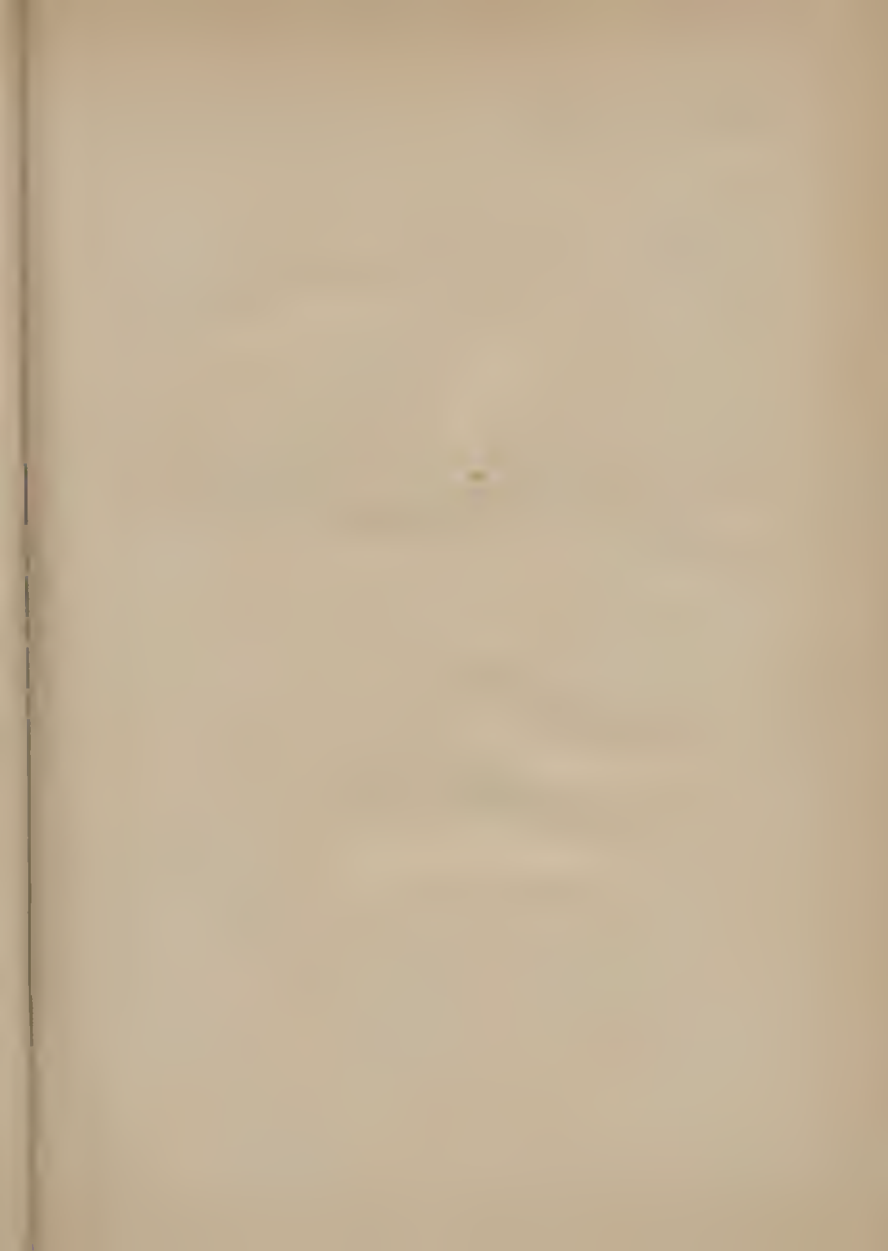
ła się po mężku, a w tym stroju młodzi dwaj ichmość niczyjej nie zwracali na siebie uwagi.

Boleśnie dotknął ten wypadek Adę. Zdawało jej się, że część winy za nieszczęśliwy los jaki spotkał Sensytywę spadał na nią, choć miała ją na oku, choć surową była dla niej. Lecz może właśnie ten chłód i nauki dawane odstręczały biedną, i ufność jej odejmowały. Wstydzila się zwierzyć, nie śmiała prosić... Osamotniona, milcząca, padła ofiarą tego samego instyktu, któremu uległa i niepodległa Ada...

— A więc wszystkie my, oprócz takich Hortensyj—co nie kwitły nigdy, skazane jesteśmy, aby paść serca ofiarą — prędzej czy później? — mówiła Ada. Wszystkie... Biedna Karusia! Oblęcki—co za życie!... Dni kilka szalu—a lata pokuty!! Przeznaczenie..

Łza się jej potoczyła z oczu, dla Karusi, czy dla siebie—któż odgadnie?

KONIEC TOMU PRZECIĘGO.



Biblioteka Raczyńskich

JK 2



JK0002